OPIEKUN SPOŁECZNY



TREŚĆ:

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM SŁUŻBY SPOŁECZNEJ W STOLICY

Nr 4 (31) — **IV.1939**

W najbliższym czasie będzie znacznie rozszerzona działalność Stolicy w zakresie poradnictwa przedślubnego.

W związku z tym grono pracowników miejskiej służby opiekuńczej i zdrowotnej

OGŁASZA

KONKURS

NA BROSZURĘ PROPAGUJĄCĄ PORADNICTWO PRZEDŚLUBNE

Broszura winna zachęcać do korzystania z poradni przedślubnych i wytłumaczyć znaczenie badań przedślubnych.

WARUNKI KONKURSU:

1) Objętość broszury do 15 stron maszynopisu.
2) Ujęcie jaknajpopularniejsze.
3) Nazwisko autora nie będzie wymienione w broszurze, przy czym Redakcja zastrzega sobie prawo ew. wprowadzenia zmian, czy poprawek w tekście nadesłanej pracy.
4) Termin nadsyłania prac konkursowych do dnia 1 czerwca r. b. pod adresem—Wydział Opieki i Zdrowia, ul. Złota 74, pok. 25.

Na kopercie zawierającej pracę podpisaną godłem (nazwisko i adres autora winny być podane w oddzielnej, zalakowanej kopercie) należy zaznaczyć

KONKURS NA BROSZURĘ

Dla najlepszych dwuch prac przeznaczone są **dwie nagrody:**

nagroda I — w wys. zł 100.
„ II — „ „ 50.

Po szczegółowe informacje należy zwracać się telefonicznie pod Nr 617-49, w godz. 10—12.

OPIEKUN SPOŁECZNY

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM SŁUŻBY SPOŁECZNEJ W STOLICY

Nr 4—(31) KWIECIEŃ 1939 ROK IV

JAN STARCZEWSKI.

Ojcowie nieślubnych dzieci.

I.

W zestawieniu, wydrukowanym na str. 48 „Małego Rocznika Statystycznego" z 1937 r., czytamy, że przeciętnie w latach 1931 i 1932 urodziło się w Polsce 950.000 dzieci. W tej liczbie było nieślubnych 57.000 — czyli 6%. To znaczy — co siedemnaste dziecko rodzi się w Polsce z piętnem pochodzenia nieślubnego. Wspomniane zestawienie nie zostało niestety zaktualizowane w kolejnym wydaniu rocznika 1938.

Podana przez Główny Urząd Statystyczny liczba dzieci nieślubnych nie jest dokładna i w obecnych warunkach dokładną być nie może. Znaczna bowiem część urodzin nieślubnych w ogóle nie jest rejestrowana*). W rzeczywistości zatym liczba dzieci nieślubnych jest większa od podanej przez „Mały Rocznik".

Rozluźnianie się obyczajów, a równocześnie zmniejszająca się liczba małżeństw i coraz późniejszy wiek nowożeńców, upoważniają do przypuszczenia, że odsetek dzieci nieślubnych wzrasta.

Wzrost ten byłby jeszcze znaczniejszy, gdyby nie zwiększająca się równocześnie — i to w sposób wręcz gwałtowny — liczba sztucznych poronień.

Przestańmy jednak doszukiwać się rzeczywistej liczby urodzin nieślubnych. Wystarczy stwierdzenie, że w Polsce

---

*) Czytaliśmy np. niedawno w prasie, że przy przestawianiu pieca w jednym z domów znaleziono zamurowane zwłoki niemowlęcia. A ileż to niemowląt pochłonęły rzeki i glinianki, ile zagrzebano w rowach. Rzecz prosta urodzin tych dzieci dane statystyczne nie uwzględniają.

rodzi się więcej niż 57.000 dzieci nieślubnych rocznie. Już tylko ta bowiem liczba upoważnia do wyciągnięcia wniosku, że sprawa dzieci nieślubnych w Polsce *to jeden z najpoważniejszych problemów społecznych, wobec których nie wolno przechodzić obojętnie.*

57.000 nieślubnych dzieci — to 57.000 nieślubnych matek. Bo w myśl rzymskiej jeszcze zasady: „mater semper certa est“ — zawsze wiadomo, kto jest matką.

Kim są te matki? Dlaczego zdecydowały się na nieślubną ciążę?

Tak się niestety dzieje, że wnioski — zwłaszcza ujemne — o zjawiskach społecznych, społeczeństwo formułuje przeważnie na podstawie przypadków, które stanowią nieznaczny tylko odsetek ogółu występujących w ramach danego zjawiska.

Matka nieślubna — to dziewczyna złego prowadzenia — bo nieznaczna tylko część tej kategorii matek istotnie „źle się prowadzi“. Matka nieślubna to „wyrodna matka“ — bo b. nieznaczny stosunkowo odsetek matek zabija swe dziecko, bądź je porzuca.

A jakimże to przydomkiem obdarzyło społeczeństwo nieślubnych ojców? Żadnym. Czy dlatego, że tylko mniejszość ich jest w zupełnym porządku wobec swych nieślubnych dzieci ich matek? Nie sądźmy jednak zbyt surowo społeczeństwa za to, że niesprawiedliwie potępia ogół matek nieślubnych i milczy w sprawie ojców. Może czyni tak dlatego, że za mało wie o tym bolesnym problemie. Do świadomości bowiem społeczeństwa trafiają tylko krótkie sprawozdania z procesów, rozgrywających się na tle wypadków porzucenia lub zabójstwa dziecka. Są to ostatnie akty tragedii, w których bierze udział matka i o niej się tylko mówi. Natomiast nic się nie mówi o początku tragedii — o opuszczającym dziecko i jego matkę — ojcu.

O rozmiarach nieszczęść nieślubnego macierzyństwa społeczeństwo przez szereg lat nic nie wiedziało. Wszak dopiero przed rokiem opinią publiczną wstrząsnęła liczba 57.000 dzieci nieślubnych, którą głośno za grudniowym numerem „Opiekuna Społecznego“ z 1937 r., poświęconym sprawie dziecka opuszczonego, powtórzyła prasa stolicy i całego kraju i którą to liczbę poraz pierwszy posłanka W. Pełczyńska rzuciła w czasie obrad Sejmu w lutym 1938 r.

Jakiż jest w rzeczywistości los matek nieślubnych?

Jako miara ich tragedii może posłużyć kilka liczb, zaczerpniętych ze statytystyk stolicy.

W 1936 r. zarejestrowano w Warszawie 15.521 urodzeń ślubnych. W liczbie tej było martwych — 218. W tymże roku zarejestrowano 1.562 urodzeń nieślubnych. Gdyby odsetek martwych urodzeń nieślubnych był taki sam, jak przy urodzeniach ślubnych — wypadałoby określić liczbę martwych urodzeń nieślubnych na ok. 22. W rzeczywistości wśród 1.562 niemowląt nieślubnych urodzonych w 1936 r. martwych było 251. *Innymi słowy — odsetek martwych urodzeń nieślubnych jest jedenastokrotnie większy niż martwych urodzeń ślubnych.* Zdaje się, że jest to jeden z najsmutniejszych rekordów, bowiem w statystyce innych państw nigdzie nie znajdujemy tak znacznych odchyleń między martwymi urodzeniami nieślubnymi i ślubnymi.

Podobnie rzecz ma się ze śmiertelnością niemowląt w wieku do jednego roku.

W 1936 r. zmarło w Warszawie 1.189 ślubnych dzieci w wieku poniżej 1 roku. Skoro, jak to podawaliśmy, w tymże roku liczba urodzeń nieślubnych stanowiła 10% ślubnych — należałoby przypuszczać, że zmarło również 10%, a więc ok. 120 niemowląt nieślubnych. W rzeczywistości zmarło ich *638. Czyli śmiertelność niemowląt nieślubnych była przeszło pięciokrotnie wyższa, niż dzieci ślubnych.* Dodajmy przy tym, że w okresie przed 1936 r. śmiertelność niemowląt nieślubnych była jeszcze wyższa — w niektórych latach — prawie ośmiokrotnie!! Podane wyżej liczby mimo, że niepełne (bowiem nie ulega wątpliwości, że liczba dzieci nieślubnych była znacznie wyższa — dotyczy to zwłaszcza liczby martwych urodzeń nieślubnych) — nie wymagają dodatkowych komentarzy.

Społeczeństwo mówi matce nieślubnej „trudno" — „nie trzeba było", „sama jesteś sobie winna". I znów niesprawiedliwie. Bo odnosić się to może do tej nieznacznej tylko grupy matek, która powinna ponosić całą pełnię odpowiedzialności za fakt macierzyństwa.

Ogromna natomiast większość matek ponosi odpowiedzialność nie tylko za siebie, lecz równocześnie — i to najzupełniej niesłusznie — również za ojca dziecka nieślubnego.

Oto jeden z najwymowniejszych dowodów podwójnej moralności, której świadomie hołduje olbrzymi odłam społeczeństwa, co gorsza w całej pełni aprobowanej przez prawo i sąd.

57.000 dzieci nieślubnych — to nie 57.000 ojców nieślubnych, a o wiele mniej.

Z pracy St. Orzechowskiej*) dowiadujemy się, że w czasie wywiadów przeprowadzanych dla poradni prawnej Domu ks. Boduena zaledwie 23% mężczyzn, wskazanych przez matki dzieci, przyznało się do ojcostwa. Czyli — „77% nie chce ponosić konsekwencji swoich czynów i zapewnić utrzymania swemu dziecku, znikając w krytycznym momencie z oczu dziewczyny, nieraz wyjeżdżając w nieznanym kierunku. Jest to moment, w którym zanika różnica sfer i poziomu kulturalnego między ojcami nieślubnymi".

A cóż na to prawo?

Muszę się przyznać, że nader kłopotliwą chwilę przeżywam zawsze, gdy cudzoziemscy działacze społeczni, odwiedzający stolicę w celu zapoznania się z jej opieką społeczną, zapytują o obowiązujące ustawodawstwo w sprawie dzieci nieślubnych.

Jesteśmy bowiem na terenie b. Kongresówki osobliwością Europy. Podobnie aspołecznych, a właściwie antyspołecznych przepisów, jakie obowiązują na terenie województw centralnych trudno dziś znaleźć w innych krajach.

Żeby nie być jednak gołosłownym, podam — w największym choćby skrócie — treść kilku obowiązujących przepisów w b. Kongresówce, w porównaniu z innymi b. zaborami.

Art. 305 Kodeksu Cywilnego Królestwa Polskiego z 1825 r. — który mimo swych anachronizmów dotychczas obowiązuje, głosi wyraźnie: „Poszukiwanie ojcostwa jest zabronione".

Zaraz po tym jednak art. 306 mówi: „Poszukiwanie macierzyństwa jest dozwolone".

Trudno o bardziej jaskrawe zaaprobowanie podwójnej moralności, niż czynią to te dwa przepisy. Prawo nie chce jednak być za bardzo okrutne. Dopuszcza zatym wyjątek, czytamy

---

*) St. Orzechowska — Charakterystyka matek opuszczonych z Domu ks. Boduena — Biblioteka Wydz. Opieki Społ. i Zdr. Publ., tom 8 — 1939 r.

bowiem w drugim zdaniu art. 305, że „W przypadku porwania, gdy czas tego porwania zgadza się z czasem poczęcia, porywający może być na żądanie stron interesowanych uznany ojcem dziecięcia".

Przepis ten pachnie średniowieczem. Czasy jednak średniowiecza, gdy rycerze porywali dziewice — dawno już minęły. Dziś porywa się kobiety tylko w celu ich sprzedaży. Toteż przepis ten nie ma zastosowania i to tym bardziej, że sądy nasze nie chcą stosować interpretacji rozszerzającej — śladem bowiem sądownictwa francuskiego z okresu przed 1912 r., nie chcą uznawać za równoznaczne z porwaniem zgwałcenia oraz uwiedzenia małoletniej.

O wiele bardziej społeczne jest prawo w innych b. zaborach Polski. I tak zasadą Kodeksu niemieckiego, obowiązującego dotychczas na zachodzie Polski, jest prawo poszukiwania zarówno macierzyństwa, jak i ojcostwa. Prawo austriackie również dopuszcza poszukiwanie ojcostwa, wprowadzając nawet domniemanie, że jest ojcem dziecka ten, komu dowiedziono, że obcował z matką dziecięcia w okresie od 6—9 miesięcy przed narodzeniem się dziecka. Domniemanie to może zainteresowany obalić tylko w określonych prawem wypadkach.

Obowiązujący na kresach wschodnich X Tom Zbioru Praw wprawdzie nie wspomina o poszukiwaniu ojcostwa, ale też nie formułuje postanowienia o zakazie jego poszukiwania.

Dodajmy przy tym, że przepis art. 305 K.C.P. był wzorowany na art. 340 Kodeksu Napoleona. Artykuł ten jednak pod wpływem prądów w literaturze dramatycznej i stanowiska opinii publicznej został we Francji zmieniony w 1912 r. Prawo z 16 listopada 1912 r. ustala szereg okoliczności, w których poszukiwanie ojcostwa jest dozwolone.

Nad losem dziecka nieślubnego ulitował się moskiewski zaborca. Ustawą z 13/26 maja 1913 r. zastosowano do Królestwa Polskiego zasady zdania Rady Państwa z dn. 3 czerwca 1902 r. o polepszeniu losu dzieci nieślubnych. Ustawa ta (nie uchylając zresztą zakazu poszukiwania ojcostwa) zezwoliła na dochodzenie alimentów na rzecz matki nieślubnej i jej dziecka.

Lecz oto stajemy się świadkami gorszących widowisk w sądach. Pozwany o alimenty przyprowadza do sądu usłużnych koleżków, którym się oczywiście chętnie zrewanżuje, gdy

i oni w podobnej znajdą się sytuacji. Koleżkowie ci zeznają, że i oni również „bliżej znają tę panią“. Jest to tzw. „exceptio plurium concubentium“ — zasłanianie się przed sądem okolicznością, że kobieta w okresie poczęcia obcowała z kilku mężczyznami. Sąd oddala wówczas powództwo. Matka dziecka wychodzi z sądu bez alimentów — w dodatku obrzucona błotem.

Doprawdy trudno zrozumieć tego rodzaju praktykę sądów. Bo przepisy prawa nie przewidują dopuszczania takiego „exceptio“.

I znów trzeba stwierdzić, że sytuacja matki i dziecka nieślubnego, jeśli idzie o możność uzyskania alimentów, jest korzystniejsza w innych zaborach. Oto prawo austriackie wyraźnie zabrania zasłaniać się w sądzie przy pomocy „exceptio plurium concubentium“. Prawo pruskie w zasadzie dopuszcza tę „exceptio“ — ale praktyka sądów w wyjątkowych tylko wypadkach ją uwzględnia. Sądy w b. zaborze pruskim przekreślają w praktyce aspołeczne postanowienia ustaw — w b. zaborze rosyjskim sytuacja jest odwrotna — sądy stosują niepisane przepisy — przepisy, które krzywdzą matkę i dziecko.

Część spraw — tych zwłaszcza, w których ojcowie nieślubni nie zasłaniają się wspomnianym wyżej „exceptio“ — kończy się wygraną matki — zasądzeniem alimentów. Ale wygrana ta często staje się tylko fikcją. Bo oto jesteśmy świadkami, że b. wielu ojców uchyla się od płacenia alimentów. I tu prawo jest niemal zupełnie bezsilne. Wprawdzie istnieje w Kodeksie Karnym z 1932 r., art. 201, który głosi, że:

§ 1. Kto przez złośliwe uchylanie się od wykonania ciążącego na nim z mocy ustawy obowiązku łożenia na utrzymanie osoby najbliższej, doprowadza tę osobę do nędzy lub do konieczności korzystania ze wsparcia podlega karze więzienia do lat 3, lub aresztu do lat 3.

§ 2. Tej samej karze podlega, kto czynu określonego w § 1 dopuszcza się względem innej osoby, jeżeli obowiązek łożenia na jej utrzymanie został stwierdzony prawomocnym lub podlegającym wykonaniu orzeczeniem sądu.

§ 3. Ściganie następuje na wniosek pokrzywdzonego, a w razie jego śmierci, spowodowanej przestępstwem określonym w § 1 lub 2 — z urzędu“.

Cóż jednak z istnienia tego artykułu prawa, skoro niemal wcale nie jest on stosowany. Więzienia są przepełnione. Na 100 miejsc przypadało w 1938 r. — 164 więźniów. Gdzież wobec tego znaleźć miejsce w więzieniach dla tych wszystkich — a tak licznych — uchylających się od płacenia alimentów?

Zresztą matce nie chodzi o represje i karę. Należą się jej alimenty — czy je otrzyma, jeśli ojciec dziecka pójdzie do więzienia? To społeczeństwo będzie płaciło alimenty ojcu, ponosząc w formie podatków koszta jego pobytu i utrzymania w więzieniu.

Inne państwa wprowadzają przepisy, które przewidują kierowanie uchylających się od płacenia alimentów do obozów pracy przymusowej. Środek to b. niedrogi, a jak się okazało, niezawodny, a równocześnie społecznie pożyteczny, bo internowani w obozach pracują na robotach publicznych.

Wyjątkowa bezkarność mężczyzn na terenie b. zaboru rosyjskiego powoduje, że tu właśnie najjaskrawiej występuje zjawisko, które nazwać można korsarstwem płciowym. I tu równocześnie — bo właśnie dlatego — jest najcięższa dola matek nieślubnych. Smutnym tego potwierdzeniem jest statystyka porzuceń dzieci i dzieciobójstwa.

Wśród dzieci nieślubnych było urodzonych:

Rok	Polska	Województwa			
		centralne	wschodnie	zachodnie	południowe
1932	57.000*)	19 000	9 000	10 000	20 000

Spośród przestępstw zameldowanych policji przypadało:

Rok	Rodzaj przestępstwa	Polska	Województwa			
			centralne	wschodnie	zachodnie	południowe
1936	dzieciobójstwo	888**)	412	189	77	210
	porzucenie dziecka	2 241**)	1 270	451	140	380

Okazuje się zatem, że stosunkowo najwięcej matek zabija dziecko lub je porzuca na terenie b. Kongresówki.

*) Podajemy liczby w zaokrągleniu.

**) Liczby zarówno dzieci porzuconych, jak i zabitych są w rzeczywistości znacznie większe — nie o wszystkich bowiem tego rodzaju przestępstwach dowiaduje się policja.

II.

Prawo przewiduje, że dziecko nieślubne staje się ślubnym, o ile rodzice jego zawrą małżeństwo.

Lecz oto natrafiamy na przepisy, które prawo to ograniczają. Przypominam sobie wizytę pewnego podporucznika. Przyszedł do mnie poradzić się, co ma zrobić.

Narzeczona jego spodziewa się dziecka. Przyszły ojciec dziecka zaręcza oficerskim słowem honoru, że pragnie ponieść wszelkie konsekwencje. Pragnie, by dziecko jego nie było nieślubne. Co na to poradzić, skoro są przepisy zabraniające oficerowi żenić się, chyba, że znajdzie kandydatkę, która mu wniesie znaczny posag, albo udowodni wobec władz, że ma zapewniony stały dochód.

Niestety, narzeczona wspomnianego oficera jest bardzo biedna. Nie ma posagu. A chciałaby, zamiast szukać posady w biurze, zająć się domem, wychować kilkoro dzieci na dzielnych żołnierzy Rzeczypospolitej, takich, jak ten, którego kocha.

Inny wypadek. Pewien policjant został ojcem bliźniąt, dwóch zdrowych chłopczyków. I on również nie chciał, by dzieci jego miały piętno nieślubności. Ożenił się przeto z matką swych dzieci i... został natychmiast wydalony ze służby w policji. Bo przepisy przewidują, że nie wolno policjantowi żenić się przed upływem 7 lat służby, ale nawet wówczas kandydatka na żonę musi wnieść albo posag, albo mieć zapewniony stały dochód.

Zachodzi pytanie, czy to właśnie nie wojskowi i policja są jedną z tych grup w Polsce, których postawa wobec państwa i społeczeństwa daje gwarancję, że wychowają potomstwo na dzielnych obywateli kraju?

I czy warto dla oszczędności w budżecie Państwa zabraniać im mieć dzieci. I czy oszczędności te nie są w gruncie rzeczy problematyczne?

III.

Mówiliśmy o tych, którzy uchylają się od obowiązków wynikających z ojcostwa. Mówiliśmy również o tych, którzy chcą być ojcami, lecz, którym wolno być tylko ojcami nieślubnymi.

Zgłaszają się jednak do Domu ks. Boduena i tacy, którzy sami nie mogą być, ani ojcami ślubnymi, ani nieślubnymi. Ale którzy mimo to chcą być ojcami. Chcą wziąć dziecko, jak mówią, „na własność". Oni i ich żony. Okazują świadectwa lekarzy, że niestety własnych dzieci nie mają i mieć nie będą. Okazują dowody, że są materialnie niezależni, że stać ich na danie dziecku nie tylko serca, ale wiedzy i pewnego nawet dobrobytu. Powołują się na szereg osób, które wydadzą jak najlepszą pod każdym względem o nich opinię.

Otóż znów występuje w całej swej okazałości jeszcze jeden z przepisów, zawartych w Kodeksie z 1825 r. Na terenie b. Kongresówki nie wolno adoptować dziecka... dopóki nie ukończy ono lat 21, a adoptujący może adoptować dopiero po ukończeniu pięćdziesiątego roku życia.

Podobnych nonsensów nie zna ani prawo austriackie, ani niemieckie, ba — nawet zbiór praw, obowiązujący na terenie województw wschodnich. Wszędzie tam wolno adoptować dziecko.

Dodajmy przy tym, że analogiczne, jak w Kodeksie z 1825 r. postanowienia Kodeksu Napoleona, zostały we Francji zmienione w 1923 r. We Francji wolno dziś adoptować dziecko bez względu na jego wiek. B. Kongresówka jest jedynym terenem w całej Europie, gdzie spotykamy się z zakazem adoptowania dziecka.

Twórcy Kodeksu z 1825 r., umieszczając w nim przepisy zawarte uprzednio w Kodeksie Napoleona, wychodzili z założenia: „aby ludzie, dopóki własne dzieci mieć mogą, sami wypłacali się z długu odradzania się Krajowi, a nie obce sobie przyswajali". Skoro tak jest — trzeba długi płacić samemu, nie wolno wyręczać się kim innym, innymi słowy trzeba samemu rodzić dzieci, a nie adoptować urodzonych przez kogoś innego.

W okresie 114 lat medycyna uczyniła niejakie postępy. Dziś każdy lekarz, każda poradnia przedślubna z całą pewnością ustali (zwłaszcza jeśli idzie o mężczyzn), czy dany osobnik może mieć dzieci.

Przepis Kodeksu Cywilnego z 1825 r. stał się w tych warunkach zupełnym absurdem. Poco jednak jest nadal tolerowany?

Na całym świecie czyni się wszystko, aby wzmocnić więzy łączące rodzinę. Szczególną troską otacza się rodziny, które adoptują dzieci. Zachęca się do adoptowania sierot i dzieci opuszczonych. Bo wszystkie państwa zrozumiały, że najlepszy zakład nie zastąpi dzieciom rodziny.

A my w dwudziestym pierwszym roku niepodległości, powołując się na zaborcze przepisy, odprawiamy z kwitkiem dziesiątki rodzin, które chcą przygarnąć dziecko!!! (rocznie do samego tylko Domu ks. Boduena zgłasza się ok. 120 bezdzietnych małżeństw).

IV.

Wniosków z tego, co piszę, wyciągnąć można wiele. Najbardziej oczywistym jest chyba ten, że musimy dążyć do zmniejszenia się liczby dzieci nieślubnych i do poprawienia ich losu.

Droga do tego celu (na którą zresztą powinniśmy wkroczyć nie tylko ze względu na troskę o los dziecka nieślubnego) prowadzi przez:

a) *popieranie rodziny.* Państwo i społeczeństwo musi zdobyć się nareszcie na realny program w sprawie rodziny. Słowa „że rodzina jest podstawową komórką państwa i społeczeństwa“ stają się frazesem tym większym, im częściej się je powtarza i im mniej równocześnie daje się dowodów pozytywnego do tej prawdy stosunku. Do dziś dnia nie mamy w ustawodawstwie i w działalności czynników publicznych odpowiedniego stosunku do rodziny. Nie ma ochrony rodziny, nie ma szerokiego uświadamiania o obowiązkach jakie na niej ciążą, nie ma zachęty do tego, aby je wykonywała i odpowiednich po temu ułatwień (brak polityki mieszkaniowej, uwzględniającej potrzeby mało zarobkujących rodzin, brak dodatków rodzinnych, brak ulg podatkowych dla rodzin itp.).

b) *zwiększanie się liczby małżeństw i wcześniejsze ich zawieranie.* Należy dążyć do tego, aby obywatele w większej liczbie i wcześniej wstępowali w związki małżeńskie. (W ten sposób zwalczymy nie tylko nieślubne macierzyństwo, ale równocześnie nierząd i choroby weneryczne. A nie zapominajmy,

że te klęski społeczne ostatnio wzrastają*). Droga do tego celu nie prowadzi jednak poprzez tępienie mężatek w miejscach pracy, przez ustawy celibatowe itp., a odwrotnie — przez uprzywilejowanie młodych małżeństw, pożyczki przedślubne i in.

c) *odpowiednie wychowanie młodzieży.* Wychowanie młodzieży pozostawia niestety bardzo wiele do życzenia. Młodzież nie wzrasta w atmosferze gotowości do poświęceń — a w egoizmie.

Chodzi o zwalczanie egoizmu, choćby na tyle, żeby każdy obywatel poczuwał się do pełnej odpowiedzialności za swoje czyny. Żeby prosta zasada — podstawa obowiązku alimentarnego — dosadnie sformułowana we Francji jeszcze w latach średniowiecza: „qui fait l'enfant doit le nourrir", obowiązywała nie tylko matkę, ale i ojca, i to nie tylko dlatego, że takie jest prawo pisane, prawo obostrzone przez sankcje karne, ale dlatego, że takim musi być poczucie moralne każdego człowieka, jeśli chce na miano człowieka w pełni zasługiwać.

Należy dążyć do tego, aby w przekonaniu młodzieży miarą i dowodem dojrzałości nie było utrzymywanie stosunków płciowych, używanie alkoholu — a opanowanie woli i wyrobienie pełnego poczucia honoru i obywatelskiej godności.

d) *podniesienie moralności ogółu społeczeństwa.* Trudno wymagać wiele tylko od młodzieży. Zresztą skoro mówimy o konieczności lepszego wychowania młodzieży, musimy uświadomić sobie, że najlepszą metodą wychowawczą jest dobry przykład ze strony wychowawcy. Wychowawcą młodzieży są zarówno rodzice, szkoła, jak i całe społeczeństwo. Klimat moralny zarówno wielu rodzin jak i społeczeństwa wymaga radykalnego uzdrowienia. Czas podjąć walkę z demoralizacją, zataczającą coraz większe kręgi. Źródeł tej demoralizacji jest coraz więcej. Kino, zamiast być czynnikiem postępu i wychowania, zbyt często jest traktowane jako źródło zarobków dla wytwórni filmowych, nie przebierających w środkach w pościgu za pieniądzem, hołdujących najniższym niejednokrotnie instynktom widzów, aby tylko więcej ich przyciągnąć do kas.

---

*) Porównaj „Opiekun Społeczny" — specjalny numer w sprawie walki z nierządem i chorobami wenerycznymi — marzec 1939 r.

Niezdrowym instynktom czytelników hołduje dziś wielu pisarzy. Stopniowo autorzy ci zatracają poczucie tego, że przyczyną poczytności ich książek jest poprostu to, że sięgają do tematów co najmniej niewybrednych *).

A zbyt bierna jeszcze rola radia. A rola prasy.

Zachodzi pytanie, czy w ogóle mamy tzw. opinię publiczną. A wszak bez niej nie sposób podnieść „morale" społeczeństwa.

Jedną z najpilniejszych spraw, którymi musi się zająć opinia publiczna to walka z podwójną moralnością. Nie może być ona tylko sprawą ruchu kobiecego.

Walkę z podwójną moralnością podjął ostatnio Rząd, wnosząc do Sejmu projekty ustaw o zwalczaniu nierządu i chorób wenerycznych.

Podwójna moralność w sprawach dzieci nieślubnych jest niemniej rażąca.

e) *zmiana ustawodawstwa.* Zmiana ustawodawstwa jest sprawą palącą. Nie można czekać na zakończenie prac Komisji

---

*) Charakterystycznym potwierdzeniem tego co piszemy, jest taka oto „wstawka" w jednej z powieści T. Dołęgi-Mostowicza:

„W Polsce po Przybyszewskim i Żeromskim, a za czasów Kadena-Bandrowskiego, uważano, że prostota ma zamknięte drzwi do artyzmu. Wierzono w to tak święcie, że nawet nie dostrzegano istnienia Prusa, Sienkiewicza i „Pana Tadeusza", tych wielkich wzorów prostoty. Dziwiono się później bardzo, dlaczego na Zachodzie wydane bardzo starannie dzieła Żeromskiego nie mają absolutnie powodzenia. Czytelnik angielski, czy francuski nie umiał ich poprostu strawić. Były dlań czymś zbyt egzotycznym, zarówno w swej formie, jak i w tematyce. Ze względu na niejaką poczytność moich utworów, krytyka łaskawie połączyła ich popularność z prostotą języka, znajdując dla mnie wytłumaczenie, jako dla „karmiciela szerokich mas". Być moze, krytyka ma tu rację. Ale cóż na to poradzę, że mnie to bynajmniej nie martwi. Marzeniem Mickiewicza było, by jego księgi trafiły pod strzechy. Jeżeli wielkiemu wieszczowi wolno było o tym marzyć, niechże i mnie, skromnemu powieściopisarzowi, na to łaskawie pozwolą".

„Karmiciel szerokich mas" — któremu przy okazji serdecznie życzymy, żeby jego marzenia się nie ziściły — jest w błędzie. Powodem poczytności niektórych książek jest nie tyle prostota, co ich treść. Napewno jeszcze większą poczytność zdobyłyby sobie pełne prostoty książeczki, sprzedawane ukradkiem młodzieży szkolnej (!!) w księgarniach przy ul. Ś-to Krzyskiej, gdyby pozwolono sprzedawać je legalnie. Bo autorzy tych książek idą o wiele jeszcze dalej w zaspakajaniu swoistego głodu słowa pisanego. Ale chwalić Boga istnieje art. 214 Kodeksu, który karze za pornografię więzieniem, a władze administracyjne prowadzą z nią, pochwały godną, energiczną walkę.

Kodyfikacyjnej — (wobec bowiem żółwiego tempa nie nastąpi ono prędko) — trzeba wydać przepisy doraźne, które usuną najbardziej rażące absurdy w obowiązującym dziś ustawodawstwie.

Z radością powitaliśmy inicjatywę posłanki Pełczyńskiej, która w r. ub. wniosła projekt ustawy o zmianie szeregu artykułów Kodeksu z 1825 r. Niestety projekt posłanki Pełczyńskiej spoczął w archiwach Sejmu.

Sprawa poprawienia losu dzieci nieślubnych ma być podjęta w czasie bieżącej sesji sejmowej.

Sprawę tę niewątpliwie poprze całe społeczeństwo.

BRONISŁAWA LUIDORÓWNA.

Starcy i dzieci w poradni prawnej.

Olbrzymia ilość spraw alimentarnych w sądach rzuca ponure światło na nienormalne stosunki panujące często w rodzinie. Ojciec, który przepija zarobione pieniądze, wówczas gdy jego dziecko chodzi bez butów; dorosłe dzieci, które nie chcą pomagać starym rodzicom — to sprawy dziś na porządku dziennym. W ostatnich czasach rozwój społecznych poradni prawnych coraz bardziej uwydatnia to smutne zjawisko.

Społeczne poradnie prawne prowadzą bezrobotnym i ubogim takie sprawy, których wygranie usamodzielnia ich lub chroni przed ostateczną nędzą i bezdomnością. O ile gabinet lekarza Ubezpieczalni może nam zilustrować charakter i nasilenie chorób społecznych czy chwilowych epidemii, o tyle społeczna poradnia prawna z niemniejszą wyrazistością daje obraz jaskrawych anomalii etycznego i prawnego życia zbiorowego.

Klijenci poradni prawnych zgłaszają się najczęściej w sprawach alimentarnych. Przychodzą tutaj różni ludzie. Opuszczona matka zamknęła na klucz maleństwa i przyszła, żeby poradzić się „jak zmusić męża, żeby co na dzieci dawał"; przykuśtykali zgarbieni wiekiem starcy. Poczekalnia, jak zawsze przepełniona. Widać twarze jeszcze młode, pełne wiary w ży-

cie i twarze przygaszone, zrezygnowane, wynędzniałe; są twarze łagodne, spokojne i twarze zbuntowane.

Siedzą teraz wszyscy z numerkami w rękach i czekają na swą kolejkę. Czas dłuży się — rozpoczynają się szepty i przyciszone rozmowy. Siwy staruszek skarży się na syna, który go wysyła na żebry; jakaś blondynka w kraciastej chustce opowiada z przejęciem o kłótni w rodzinie: „ale nie dałam się, nie dałam“ powtarza. „O Jezu, jakie to teraz czasy nastali, co za ludzie, co za ludzie!“ — odzywa się głos z kąta.

Od czasu do czasu z po za zamkniętych drzwi pokoju poradni dolatuje odgłos rozmowy, lub dochodzi cichy płacz — i wtedy poczekalnia na chwilę milknie, zamiera...

Ciekawość ludzka? Nie tylko ciekawość. Wszak ten cudzy ból za drzwiami kojarzy się z własną niedolą i własnym cierpieniem. Przyszli tu wszyscy, aby użalić się i szukać ratunku w prawie. Ten wspólny cel łączy poczekalnię.

Nieco w oddali, oparci o ścianę stoją dwaj chłopcy w wieku lat 13—14. To Władek i Rysio, klienci poradni. Rysio w połatanych spodniach i wielkich dziurawych butach, w których chlupie błoto, patrzy trochę spodełba. Po chwilowym wahaniu zaczyna opowiadać. Mówi niepewnie, zacina się; ma wielkie, poważne zmartwienie: metrykę ma złą i całe nieszczęście „bez to“. W metryce jest powiedziane, że Rysio nie ma ojca, a to jest fałsz i kłamstwo, bo Rysio ojca ma i dobrze go pamięta. Przecież dawniej rodzice mieszkali razem, ojciec był wtedy dla niego dobry. Potem się coś odmieniło i ojciec się wyprowadził. Teraz znać Rysia nie chce. O metryce się wszyscy zwiedzieli i każdy wyśmiewa, nazywa „znajdkiem, bękartem“. Kolega to nieraz za to porządnie w zęby dostanie. Ale to nie pomaga. Więc Rysio poszedł do ojca i grzecznie prosił, „żeby te metryke“ zmienił, a ojciec nie i nie, a potem za drzwi wyrzucił. Ale Rysio uparty — został, czekał na schodach; całą noc tak przeczekał. Zimno było, bo zimno, ale czekał. Rankiem ojciec znów chłopca przepędził, strasznie przytym zwymyślał i nawet więzieniem groził. Więc Rysio przyszedł po radę, co teraz robić trzeba.

I cóż powiedzieć chłopcu? Czy to, że jego sprawa jest zła, b. zła, gdyż jest w naszym prawie art. 305 Kodeksu Cywilnego Królestwa Polskiego, który zabrania poszukiwać

ojca? Na złą metrykę Rysia, który jest dzieckiem nieślubnym nie ma żadnej rady.

Władek natomiast jest dzieckiem ślubnym. Staje przed nami onieśmielony. Mruga zaczerwienionymi oczami, wyciera nos, przeciera oczy chusteczką... Nieznośne, kompromitujące łzy! Chłopcu przecież płakać nie wypada.

Z Władkiem to było tak. Dwa lata temu, gdy się rodzice rozeszli, Władek pozostał przy ojcu. Z początku ojciec się synem zajmował, posyłał do gimnazjum. Chłopiec lubił się uczyć i uczył się dobrze. Potem ojciec zaczął pić — w domu bywał rzadko. Władka odebrał ze szkoły, że to niby pieniędzy szkoda, a przecież ojciec nadal dobrze zarabia. Życie chłopca stało się ciężkie i trudne. Coraz wyraźniej czuł, że ojcu jest tylko zawadą. Aż wreszcie ojciec poprostu usunął go z domu, mówiąc: „nic już mnie nie obchodzisz".

Sprawa Władka jest prosta. Znajdziemy matkę; opiekun społeczny umieści chłopca w szkole; ojca zmusimy, by płacił za syna. Ale czy zdoła kto zatrzeć w duszy chłopca wspomnienie doznanej krzywdy?

Rysio i Władek to klienci poradni. Ale są w niej i inne dzieci. Czekają na matkę w poczekalni, lub przychodzą po numerek. W ich zalęknionych i zatroskanych spojrzeniach wyczytać można niepokój dojrzałego człowieka. Matki tych dzieci prowadzą sprawy o alimenty.

Rozejście się rodziców jest zwykle ciężkim przeżyciem dla każdego dziecka. Przyczyny rozstania są oczywiście różne. Nieraz żona „sekutnica" swym wiecznym biadoleniem obrzydzi mężowi życie i zmusi do ucieczki z domu, nieraz żona odchodzi z kim innym. Najczęściej jednak, jak wskazuje praktyka poradni, ojciec jest tym, który zaniedbuje i porzuca rodzinę, pozostawiając ją bez środków do życia. Dziecko przeważnie zostaje przy matce. Tak, różne są przyczyny rozstania, ale to są sprawy dorosłych. Tymczasem w tę „sprawę przy drzwiach zamkniętych" zostaje wplątane dziecko.

Dziecko proletariackie, z sutereny czy poddasza zna sprawę od podszewki. Gdy się rodzice rozchodzą w domu jest wtedy piekło; dziecko wówczas często broni matki przed ojcowską pięścią, lub też czatuje na schodach „czy tata nie idzie wlany". Gdy ojciec dom opuszcza i przestaje dawać na życie, któż jak nie dziecko zaczyna odczuwać głód, nędzę

i opuszczenie? Ciemna, zrozpaczona kobieta w tych ciężkich chwilach w nim właśnie szuka swego sprzymierzeńca, a często i powiernika. Jemu, lub w jego obecności, opowiada o smutnych kolejach swego małżeństwa, nieraz o sprawach b. intymnych. Dziecko posyła do ojca, żeby dawał na życie, licząc na resztki sentymentu ojcowskiego. „Idź do ojca, pokaż, że bez butów chodzisz“ — „chcesz jeść, niech ci ojciec da“ — „powiedz tacie, żeby dał na komorne, bo gospodarz pieniędzy woła“.

Dziecko cierpi — jedno, bo ojca nie ma, inne, bo dom się rozpadł — jedno i drugie, bo głodne, bo mu źle.

Poradnia prawna prowadzi oczywiście sprawę o alimenty w imieniu matki, lecz naczelnym zadaniem jej jest dobro dziecka. Trzeba zapewnić mu spokój, tak konieczny dla jego rozwoju. Tymczasem w okresie, gdy matka zgłasza się do poradni, w domu panuje nędza, a stąd przygnębienie, atmosfera ciężka, przesycona goryczą, która udziela się oczywiście i dziecku.

W tych trudnych i ciężkich chwilach, jakie przeżywa rozbita rodzina, trzeba roztaczać nad nią specjalną opiekę. Czyni to poradnia za pośrednictwem opiekunów społecznych, z którymi jest w stałym kontakcie. Opiekun musi dbać nie tylko o stan materialny rodziny, ale i oto, aby ochronić dziecko przed zgubnym działaniem atmosfery brudów, waśni i nienawiści. Młodą duszę najłatwiej może spaczyć zarzewie nienawiści — trzeba więc wnieść do domu dziecka trochę jasności i pogody, nie pozwolić, by stało się ono bezpośrednim uczestnikiem procesu . . .

A oto odwrotna strona zagadnienia — dorosłe dzieci nie chcą pomagać rodzicom. W poradniach społecznych uderza na pierwszy rzut oka olbrzymia liczba starców prowadzących sprawy alimentarne przeciwko dzieciom. Jest wśród tych starców wielu złych ojców i wiele złych matek. Są tacy, którzy w młodości porzucali swe dzieci, lub też wygnali je z domu; teraz przypomnieli sobie o nich i żądają wsparcia.

Siwy, jak gołąb Matys zostawił niegdyś na pastwę losu żonę z 4-giem małych dzieci. Przez szereg lat nie zatroszczył się nawet o to co się z dziećmi dzieje. Teraz ma lat 80 i żyje z żebraniny. Lecz na stare lata chciałoby się mieć jaką taką opiekę i trochę ciepłej strawy. Odnalazł swoje dzieci i zwró-

cił się do nich o pomoc. Dzieci jednak znać go nie chcą. „Niech z głodu stary zdycha kiedy miał takie dobre serce. I cóż mnie taki ojciec obchodzi".

Prawnie Matys coś tam od dzieci pewnie i wygra. Prawny obowiązek pomocy rodzicom zależny jest wyłącznie od sytuacji materialnej stron, a dzieci Matysa wszystkie dziś mają pracę. Prawda, Matys był złym ojcem. Dziś jednak to zniedołężniały, stojący nad grobem starzec. Czyż teraz można go uczyć, mścić się lub karać za dawne winy? Matys żyć z czegoś musi, a trudno obarczać społeczeństwo utrzymywaniem człowieka, który ma rodzinę.

Są też wśród klientów poradni starcy kłótliwi, zrzędy, którzy nigdzie długo miejsca nie zagrzeją, bo zawsze im coś stanie na zawadzie. Przez swój swarliwy charakter wprowadzają ferment i niezgodę do ciasnych mieszkań swych dzieci. Ci starcy sami są przyczyną swej niedoli.

Są jednak również w poradni b. liczne wypadki przejmujące zgrozą. Przychodzą ojcowie, których spracowane ręce wskazują na ciężką walkę o byt, a którzy pomimo biedy dbali o to, by dziecko fachu nauczyć. Są matki, które z poświęceniem wychowywały dzieci, „by na porządnych ludzi wyrosły". Jest wielu rodziców, którzy cały swój majątek ofiarowali dziecku. Dzisiaj ci wszyscy ludzie zostali na stare lata bez dachu nad głową i bez kawałka chleba, a często są nawet bici i poniewierani przez własne dzieci.

Drobna, bezzębna babuleńka, już trochę przygłucha i zdziecinniała wciąż popłakuje. Uciekła wczoraj od syna i nie wie gdzie się podziać. Jakto, a pocóż to uciekała? — a starowina nic, tylko dalej chlipie. Kiedy zdejmuje chustkę na szyi jej widać wyraźne sino - czerwone pręgi — gdzieniegdzie ślady paznokci . . .

Syn ślusarz z pasją woła do ojca: „jakże to długo karmić będę darmozjada, nie czas by to już do ziemi?"

Zamożna córka trzyma w domu matkę jako służącą do wszystkiego; gdy staruszka już traci siły, poprostu usuwa ją z domu.

Dobrze to jeszcze, gdy w domu jest jaka praca: sprzątanie, gotowanie, pilnowanie mieszkania, lub zabawianie

dziecka — gorzej, gdy pracy tej nie ma, lub starzec jest niedołężny; zaczynają się wtedy dla niego lata męczarni i poniewierki. Wiadomo, że największymi wrogami żłobków są babki; gdy córka lub synowa idą do pracy, babka jest w domu potrzebna, by przewijać lub huśtać wnuka, gdy dziecko zanoszą do żłobka, rola jej w domu się kończy.

Jedną z częstych przyczyn tragedii starców są waśnie i niesnaski rodzinne. Gdy litościwa córka przyjmuje do swego domu matkę, to reszta rodzeństwa umywa ręce i nie chce matce pomagać, „żeby to nie daj Boże i siostra co nie zarobiła". Na tym tle dochodzi do poważnych konfliktów, a cierpi na tym starzec, który z tego właśnie powodu często idzie na bruk. A przecież zdawałoby się, że to takie proste i jasne, zgodne nie tylko z przepisami prawa, ale i z sumieniem ludzkim, że biednym rodzicom powinny pomagać wszystkie dzieci w miarę swej możności.

Iluż to starców, żyjących z żebraniny lub ofiarności publicznej, ma dzieci, które stać na to, by pomagać rodzicom. Starcy ci zwracają się do poradni, by w drodze prawnej uzyskać alimenty. Dla wielu z nich sprawa sądowa jest źródłem nowego cierpienia.

Bączkowska skarży się żałośnie: „trzech ich miałam synów, wszystkich kochałam, ale ten najmłodszy Jasio, cóż to było za dziecko! A oczy to miał takie niebieskie, że kiedy na mnie temi oczami spojrzał, to mi się zdawało, że się przede mną niebo otwiera — a teraz to ja syna skarżyć przyszłam".

Adamczyk prosi o napisanie listu do syna, „żeby co dał na życie, przecie posadę ma dobrą, a skarżyć to ja nie chcę, bo cóż ja na stare lata po sądach włóczyć będę własne dziecko. Może się co w nim odmieni, może go Pan Bóg oświeci".

Aby zaoszczędzić starcom jeszcze i tej przykrości jaką jest sprawa sądowa, poradnia stara się te spory rodzinne załatwiać polubownie. Niestety, rzadko się to udaje. Najczęściej spotykamy zdecydowany opór ze strony dzieci, które zupełnie nie poczuwają się do obowiązku opiekowania się rodzicami. Spychają ten ciężar na pozostałych krewnych lub na społeczeństwo.

„Co, dlaczego ja mam dawać na ojca?“ woła córka starego Sicińskiego, niegdyś niefachowego robotnika. „Czy jaki posag dostałam, czy może jaki majątek? W domu bieda była, jedną koszulę miałam, że mi się w życiu udało i dobrze wyszłam za mąż, to teraz płacić mam za to? — Niby dlaczego, czy to ja nie mam swoich dzieci?“.

Syn starej Antoniowej, majster, którego zarobki przekraczają 400 zł miesięcznie, woła: „Co takiego, ja mam dawać starej na życie? — Niby na co — na chłopów, na wódkę?“ — Spojrzenie mimowoli pada w stronę Antoniowej. Ma lat 78. Siedzi tu teraz skulona, zgarbiona, odziana w jakieś nędzne łachy. Starcze wyblakłe oczy patrzą przed siebie wpółprzytomnie z rozpaczy.

Te brutalne i tragiczne obrazy to fakty wzięte z życia. Masowe występowanie spraw alimentarnych to skutek nie tylko ciężkiej sytuacji ekonomicznej, alkoholizmu, osłabienia uczuć rodzinnych. Niemniejszą rolę odgrywa tu błędne przekonanie złych ojców i złych dzieci, że płacenie alimentów zależne jest jedynie od ich dobrej woli, że jest łaską, a nie obowiązkiem prawnym. Źródła tej wiary to ciemnota i nieznajomość przepisów prawnych. Jakże często słyszymy w poradni słowa ojców, czy synów: „jak będę chciał to dam, a jak nie to nie i któż mnie przymusi“ lub „nie mają co jeść — a cóż mnie to obchodzi — niech im opieka daje“. Przecież z tym walczyć trzeba — trzeba nauczyć obowiązku tych, których nie stać na uczucie!

Środkiem walki, który w szerokim zakresie stosują poradnie społeczne jest proces alimentarny. Wygrana sprawa nie tylko zapewnia byt materialny dzieciom i starcom. Wyrok ten ma jeszcze inne, głębsze znaczenie — znaczenie wychowawcze. Wieść o wygranym procesie szerokim echem rozchodzi się po przedmieściach. Mówią o sprawie sąsiedzi, znajomi: „matka wygrała, znaczy się syn nie miał racji, pomagać matce trzeba“. Stosunek prawa do pewnych czynów, czy pojęć wpływa najczęściej na ich zabarwienie moralne w psychice. Obowiązek zaakcentowany przez prawo przestaje być luźną dyrektywą, nabiera szczególnej wiążącej mocy. To też po każdej wygranej sprawie przychodzą do poradni oporni ojcowie i nieustępliwe dotąd dzieci — bo jak płacić trzeba, to już lepiej godzić się dobrowolnie.

W wypadkach złośliwego uchylania się od płacenia alimentów prawo nasze zna jeszcze inny, ostrzejszy sposób walki. Art. 201 Kodeksu Karnego przewiduje za złośliwe uchylanie się od płacenia alimentów karę więzienia lub aresztu do lat 3-ch. I właśnie świadomość, że nieudzielanie pomocy najbliższym i doprowadzanie ich przez to do nędzy, to czyn nie tylko wysoce nieetyczny i szkodliwy, ale nawet przestępstwo — oto czynnik niesłychanie ważny, budzi bowiem reakcję opinii społecznej.

Najskuteczniejszą bronią z tym stanem rzeczy jest zwarta, jednolita opinia społeczna, potępiająca bezwzględnie uchylanie się od wypełniania obowiązku rodzinnego. Źli ojcowie i złe dzieci dziś jeszcze znajdują, niestety, przyjaciół, czy kolegów, którzy w imię źle zrozumianej przyjaźni solidaryzują się z nimi i pomagają im w ukrywaniu dochodów. Utrudnia to wymiar sprawiedliwości, naraża starca lub dziecko na głód, obciąża społeczeństwo. W kształtowaniu jednolitej opinii społecznej dużą rolę mogą odegrać opiekunowie społeczni. Opiekun podczas wywiadu styka się nie tylko z klientem poradni i jego otoczeniem, ale nawiązuje kontakt ze stroną przeciwną w procesie i jej otoczeniem. Może więc budzić tam poczucie obowiązku, starać się wyjaśnić etyczną stronę sprawy, kłaść nacisk na jej klasyfikację prawną.

Słowo — przestępstwo — zmienia stosunek ludzi do zagadnienia. Nasuwa wątpliwości, lęk przed współudziałem, obawę kary. Z pojęciem karalności łączy się pojęcie zła takiego postępowania. W ten sposób staramy się wykorzystywać prawo jako czynnik kształtujący świadomość etyczną warstw, które są dla poradni terenem pracy. Jeżeli zły ojciec, czy złe dziecko nie znajdą pomocy, lecz poczują, że czyn ich budzi w około wzgardę i oburzenie, to wówczas zastanowią się i . . . może zawstydzą.

M. WAJNLESOWA.

Szkoła a dziecko zakładów opiekuńczych.

— Niech mnie pani zapisze do szkoły, i mnie, i mnie... kiedy pójdziemy do starszych, do szkolnych? my już „duże“.

Dzieci przedszkolne w zakładzie marzą o szkole tak, jak marzą o niej dzieci rodzin prywatnych, ale z innych powodów. Dzieci rodzin marzą o towarzyszach zabaw, o wesołych figlach w gromadzie — nasze — tęsknią za światem znajdującym się poza murami zakładu.

Dla nich świat szeroki utożsamiony jest ze szkołą. Tęsknota za nowymi przeżyciami i wrażeniami rozpiera spragnione umysły i dusze wychowane w monotonii i „wiecznie tym samym“.

Dzień zapisów do szkół siedmiolatków: podniecenie, radość, co za uroczystość, wstęp w życie... stajemy się dorośli, już będziemy codzień wychodzić z zakładu i będzie nam wolno odwiedzać rodziny raz w tygodniu...

Pierwszy dzień w szkole: zagubione, zdezorientowane. — Wychowawczyni odprowadza je raz, lub dwa, pokazuje gdzie szatnia, gdzie klasa, gdzie ubikacja.

Potem radź sobie sam mały człowieku! Wychowawca nie może odprowadzać codzień, bo czasu mu brak, oddaje więc małe pod wątpliwą opiekę starszych dzieci zakładu.

Dziecko wraca bez beretu, bez jednego buta, bo nie wie gdzie się podziało, zapomniało zabrać.

Po inne dzieci przychodzi matka troskliwa, czuwająca, ubiera, pamięta o książkach, o butach, o berecie. Tymczasem nasze dzieci już pozostawione sobie... Wstąpiłeś w życie dorosły siedmiolatku!

Zapominamy, że dotychczas zawsze było pod naszą opieką, że ktoś czuwał, ktoś dbał na terenie zakładu, ktoś pomagał. A teraz gniewamy się, że zapomniało książki zeszytu, gniewamy się gdy wróci brudne, nieraz w podartych porteczkach, wystraszone...

Ono, które pierwszy raz może w życiu widziało „ samodzielnie“ ulicę, tramwaj; jeśli wychodziło, to nigdy tak samotne, zawsze w gromadzie, z dziećmi, z wychowawcą.

A teraz samo wobec wielkiego, szerokiego świata — ulicy pełnej niespodzianek, nieraz wrogiej, i wobec szkoły.

Tyle nowego, aż strach ogarnia, niełatwo się przystosować do tego wszystkiego — powoli, powoli...

I szkoła i my wychowawcy musimy o tym pamiętać, musimy cierpliwie zaczekać, aż dziecko się oswoi, ono ma więcej do przezwyciężenia niż dziecko rodziny. Dotychczas nic prawie nie widziało, mało przeżywało, mało odbierało wrażeń — a nagle tyle naraz, aż w głowie szumi... Szkoła się skarży: najwięcej mamy trudności z dziećmi pierwszych oddziałów, nie umieją się podporządkować, nie potrafią chwili usiedzieć spokojnie na miejscu, albo odwrotnie — są nazbyt apatyczne, bierne. I tak mało są rozgarnięte, nie interesują się początkowo wcale nauką szkolną, odbiegają od normy pod względem zachowania i inteligencji: ubogi zasób wiadomości i pojęć, ubogi słownik, mowa niewyraźna.

Tak, z wielkimi trudnościami spotyka się szkoła w zetknięciu z naszym dzieckiem, wiemy o tym, ale wiemy również, że wypływają one z ogólnych bolączek wychowywania zakładowego: ubóstwo i głód wrażeń, nigdy niezaspokojone pragnienie czułości — jednostka ginąca w tłumie. Wiemy o tym, pragniemy zmienić, ale w masowym wychowaniu jakże trudno! Dziecka nie widać, widać tylko poruszające się mrowie małych istot, czepiających się, wyciągających rączki, domagających się zainteresowania swoją odrębną osóbką. — Chcesz objąć jedno, ale jakże... kiedy masa cała się garnie, obstępuje cię, ciśnie, zakrywa sobą. Masa poruszających się ciałek.

I tak każde zostaje samotne, niezaspokojone, pragnące ciepła, dobrego słowa, zainteresowania swoją osobą, już od maleństwa pokrzywdzone, bo ani dla wychowawcy, ani dla matki, ani dla nikogo nie istnieje ono jedno, jako takie.

A teraz w szkole. — Więc pierwsze miesiące, pierwszy rok w szkole, to pierwszy etap poznawania życia poza zakładem. Nie dziwmy się, że nie może usiedzieć na miejscu w klasie, tyle rzeczy w około je interesuje, tyle wszędzie nowego — jest zamroczone nawałem wrażeń, nowe twarze, nowe otoczenie, nowe mury, inne wymagania... I pierwsze zetknięcie się z dziećmi rodzin: dwa obozy — „my“, dzieci zakładowe i „one“ — dzieci prywatne, dzieci „mamuś“ i „tatusiów“.

Po roku nauki szkolnej kilkoro dzieci odpada, bo okazały się w istocie upośledzone umysłowo, inne, pozornie opóźnione w rozwoju ze względu na warunki zakładowe, już się przystosowały, już się orientują, już uważają, już nie przeszkadzają. Tak, ale piętno pozostało: „my" i „oni". Dwa małe społeczeństwa, nie rozumiejące się nawzajem. — Które uprzywilejowane? — „My", to prawda, mamy wszystko i *dach nad głową* i jedzenie i ubranie, ale „oni" mają *dom*, mają mamę i tatę . . . może strawę gorszą, może ubranie gorsze, ale mama, gdy wysyła dziecko do szkoły, zawiąże kokardkę we włosy, przygładzi suknię, choć zniszczoną, tą swoją matczyną ręką. A „my" mamy wszystko, tylko tej jednej ręki brak, tej, co zawiąże kokardkę, a wieczorem kołnierzyk wypierze, aby nazajutrz był jako tako czysty i kupi za grosz do szkoły cukierek. Dziecko zakładowe ma niby wszystko, ale nikt mu do kieszeni nie włoży niespodzianki, bo jedno dostać nie może, bo jest ich legion, jeden cukierek pomnożony przez 150, 200, masę zaraz trzeba — nie można dać jednemu, a drugiemu nie.

Więc w wyższych klasach dalej „my" i „oni". — „My" się trzymamy razem, „oni" nie dopuszczają nas do swoich zabaw, nie że nas nie lubią, tylko, że tak już jest, „my" się czujemy lepiej ze sobą i „oni" ze sobą. Nieraz śmieją się „oni", że „my", dzieci zakładowe, nie mamy latem pantofli, tylko ciężkie, czarne buty, i że wszystkie nosimy takie same sukienki i nie wolno nam zapuszczać włosów na warkocze i . . . w ogóle zaraz poznać, że my zakładowe.

* * *

Głos szkoły: „Biedne sieroty, tak, rozumiemy, że nieszczęśliwe, ale nie możemy tyle ich skupiać w jednej szkole. Nie, już tego nie przyjmiemy, ani tego, niech pani innej szkoły szuka. — Te dzieci nam utrudniają życie i pracę. Głównie pierwsze klasy — to zupełne dzikusy, nie biorą udziału w zajęciach, pozostają na drugi rok, a jak będzie tak dużo drugorocznych, rozumie pani, nie możemy . . . powiedzą: co to za szkoła, co za nauczycielki, widocznie sobie nie radzą . . . tyle drugorocznych".

„Te dzieci powinny być w przedszkolu, one są niedojrzałe do nauki szkolnej, napewno nie mają jeszcze siedmiu lat".

Szkoła ma rację, przecież wiek naszych dzieci nie jest pewny — podrzutki. W komisariacie wiek oceniają na „mniej więcej", potem lekarz na podstawie badania lekarskiego także omylić się może. Szkoła opowiada następujący fakt. Przyszło do szkoły siedmioletnie jakoby maleństwo. Wydawało się w szkole zahukane, zapłakane, nieobecne. Nagle, po roku zjawia się matka: „Ależ moje dziecko ma dopiero 6 lat, skąd ono do szkoły?" (a w szkole siedziało już cały rok). Do zakładu matka się nigdy nie zgłaszała, nie było metryki, ani żadnych bliższych danych. — Takich dzieci jest w zakładzie więcej niż jedno, jaki procent takich rzekomo siedmiolatków, nie wiadomo.

Albo bywa inaczej: dziesięcioletni chłopiec podrzucony, nie wiadomo skąd, analfabeta. Co robić z chłopakiem? Posyła go się do szkoły, do pierwszego oddziału . . . Szkoła robi alarm: dziesięcioletniego dryblasa pani nam przysyła, co my z nim zrobimy? A zakład przecież nie może zostawić chłopca bez szkoły, a na indywidualne nauczanie brak wychowawcy czasu.

A oto inny moment: Jedna z wychowawczyń szkoły prosi: „Moje dzieci wszystkie w klasie mają niebieskie kokardki, dzieci zakładowe także je mieć powinny, żeby się nie wyróżniały i . . . takie sztywne kołnierzyki — to tak estetycznie wygląda". Inna pani: „Moje dziewczynki mają granatowe wstążki, a chłopcy krawaciki błękitne". Czy zakład może pozwolić sobie na zaspokojenie życzeń wszystkich wychowawczyń każdej klasy, w każdej z licznych szkół?

Tydzień budowy szkół. Wszyskie dzieci przynoszą z domu po 10 groszy na chorągiewki. — A dzieci zakładowe czują się pokrzywdzone: nie dostały chorągiewek, bo nie miały 10 groszy, bo to nie 10, ale 50 razy po 10, 100, 200 razy po 10. Czy zakład może, czy ma fundusze na tego rodzaju wydatki? Szkoły proszą o serwetki i ręczniczki dla każdego dziecka. Słusznie, ale co będzie z inwentarzem zakładowym? Dzieci w szkole zagubią, kto będzie zato odpowiadał? Zakład nie może wydawać przedmiotów na zewnątrz, to nie jeden ręcznik, ani serwetka, to . . . 150 — 200. Jedna szkoła prosi o zeszyty w wąską linię, druga — w szeroką, jedna znormalizowane, druga nieznormalizowane.

Mamy magazyn przyborów szkolnych w zakładzie, ale czy można zadowolić wszystkich? Dziecku potrzebny blok

do rysunków nr 5, na nieszczęście mamy w magazynie całą masę bloków nr 3 i 4. Tragedia prawdziwa, dziecko skarcone obrywa rugi w szkole, że jeden jego blok jest nieco mniejszy, niż innych dzieci. Przytaczam tak drobiazgowe przykłady trudności w zaopatrzeniu naszych dzieci w inwentarz szkolny, bo te drobne niedociągnięcia urastają do poważnych nieporozumień ze szkołą: „Zakład nie dba, nie stara się, utrudnia pracę".

To wszystko nadaje piętno dzieciom zakładowym.

„Wyróżniają się — mówi nauczycielka — drobnymi brakami, nie wyczuwa się nad nimi normalnej, domowej pieczy, tej codziennej troski, tego starania matczynego".

„W ten sposób dezorganizują nam pracę... i dlatego, aczkolwiek rozumiemy i współczujemy tym nieszczęśliwym istotom, ale wolimy mieć ich w szkole jaknajmniej".

* * *

Jak widzimy problem nie jest łatwy do rozwiązania. Wkraczamy w błędne koło. Szkoła z racji trudności, jakie napotyka w zetknięciu z dzieckiem zakładowym, niechętnie je przyjmuje do siebie, w każdym razie stara się nie skupiać większej ilości elementu utrudniającego jej pracę. Zakład więc zmuszony jest do rozmieszczenia dzieci w kilku (nieraz dziesięciu) szkołach, często bardzo odległych od siebie i od zakładu. To znowu ze swej strony utrudnia tak konieczny i ścisły kontakt zakładu ze szkołą, utrudnia możliwość zaspokojenia potrzeb i różnorodnych wymagań kilku szkół naraz. Szkoły niezadowolone... dzieci pokrzywdzone... należy znaleźć wyjście z impasu. Cóż robić wobec tego? Jak sprawić, aby dzieci zakładowe czuły się dobrze w szkole i aby szkole z nimi dobrze było.

1. W pierwszym momencie nasuwa się myśl stworzenia szkoły na miejscu, szkoły zakładowej, przystosowanej do jego potrzeb i możliwości.

2. Drugie rozwiązanie, to skupienie wszystkich dzieci danego zakładu w jednej ze szkół publicznych powszechnych, znajdujących się poza zakładem, do której uczęszczałyby również dzieci z miasta.

Obecnie postaram się omówić szczegółowo każde z możliwych powyżej wymienionych rozwiązań.

1. Tworzenie szkół na terenie zakładów opiekuńczych rozwiązałoby istotnie większość bolączek technicznych, materialnych, a w części i moralnych, omówionych powyżej, gdyż szkoły te byłyby przystosowane do potrzeb zakładu, ale... jednocześnie powstaje moc zastrzeżeń i wątpliwości. Przecież głębokim naszym pragnieniem jest jaknajwcześniejsze, jaknajżywsze zetknięcie dzieci zakładów zamkniętych ze światem zewnętrznym, z ulicą, z ludźmi prywatnymi, z dziećmi rodzin, a tymczasem w ten sposób pozostawilibyśmy je nadal w ciasnym światku zakładu, z tym samym elementem dziecięcym, w niezmienionych, ograniczonych warunkach. A więc tego rodzaju rozwiązanie, aczkolwiek najwygodniejsze dla stron obu, szkoły i zakładu, z punktu widzenia przygotowania wychowanków do samodzielnego życia poza zakładem, nie jest wyjściem pożądanym.

2. Skupienie wszystkich dzieci danego zakładu w jednej, lub dwu szkołach znajdujących się nazewnątrz, lecz w pobliżu zakładu, do której uczęszczałyby i dzieci z miasta, wydaje się rozwiązaniem najrozsądniejszym, choć nasuwającym wiele problemów w związku z uregulowaniem kontaktu i współpracy zakładu ze szkołą.

Już sam fakt skupienia większej liczby dzieci zakładowych wywołuje, jak zaznaczyłam uprzednio, żywy sprzeciw władz szkolnych.

Szkoła zatym i zakład musiałyby po ścisłym porozumieniu pójść na pewne ustępstwa i ustalić pewne wytyczne współżycia i współpracy. Zakład musiałby i mógłby zastosować się do wymagań *jednej* lub *dwu* szkół, szkoła zaś, wierzę, po zapoznaniu się z warunkami zakładu ustosunkowałaby się doń życzliwiej, pobłażliwiej i może mniej rygorystycznie.

Zastanówmy się obecnie nad tym, jakie kroki mógłby poczynić zakład w celu zmniejszenia trosk, które ma szkoła w zetknięciu z dzieckiem zakładowym, a co mogłaby szkoła — aby ulżyć nieco i ułatwić zakładowi przystosowanie się do jej potrzeb.

Przypomnijmy sobie, że bolączki szkoły w związku z dziećmi zakładowymi streszczały się do:

1. braków natury psychicznej: trudności, jakie dziecko wykazuje w przystosowaniu się do wymagań i do rygoru

szkoły; — niedojrzałość psychiczna, rozproszenie uwagi, złe zachowanie, szczególnie dzieci w pierwszym roku nauczania.

2. braków natury materialnej: niedociągnięcia w zaopatrzeniu dzieci w przybory szkolne, braki w wyglądzie zewnętrznym i w ekwipunku odzieżowym.

Co do bolączek natury psychologicznej, zakład opiekuńczy mógłby w pewnej mierze im zaradzić, organizując na swym terenie specjalne grupy sześciolatków (przyszłych szkolaków), których zadaniem byłaby „zaprawa" do rytmu życia szkolnego. W programie pracy uwzględniony byłby w pierwszym rzędzie intensywny i regularny kontakt dzieci ze światem zewnętrznym, częste wycieczki, poznawanie ulic i umiejętność chodzenia po ulicy, zapoznanie z wartością pieniądza, załatwianie drobnych sprawunków w pobliskich sklepikach itp. Poza tym powolne wdrażanie dzieci do rygoru szkolnego, stwarzanie nawyków niezbędnych w życiu szkoły, zapoznanie z pewnymi zajęciami szkolnymi, wstępne ćwiczenia rachunkowe, czytania i pisania. Niezawodnie, zajęcia te przyczyniłyby się do nabycia pewnej niezbędnej zaradności i dojrzałości życiowej oraz umiejętności szybszego przystosowania się do nagle zmienionych warunków i wymagań szkolnych. Już w tejże grupie również należałoby przeprowadzić ścisłą selekcję dzieci podejrzanych o niedorozwój i przesłać je do poradni psychopedagogicznej, w celu zakwalifikowania ich do szkół, lub zakładów specjalnych. W ten sposób szkoły normalne uniknęłyby zetknięcia z najtrudniejszym materiałem zakładowym. — Zdarza się często, że kilkoro dzieci upośledzonych umysłowo, lub trudnych do prowadzenia urabia opinię zakładu. Szkoły skłonne są do uogólnień. Jedno było brudne — zakład nie dba. Dwoje tępych — zakład nie ma pieczy nad nauką, jedno nieznośne — zakład źle wychowuje. Zapomina się, że wśród 150 — 200, jak w każdym społeczeństwie — może się znaleźć kilku brudasów, kilku nieznośnych, kilku głuptasów. Dlaczego tak mało szkoła mówi o dobrych, czystych, mądrych. A jest i takich wiele.

W związku zaś z brakami natury materialnej wydaje się, że lwia ich część odpadnie z chwilą, gdy zakład będzie miał do czynienia z *jedną* lub *dwoma* szkołami. Przed rozpoczęciem roku szkolnego zakład ustaliłby z kierownictwem danej szkoły jakie są przedmioty i przybory, które zakład

powinien dziecku dostarczyć, aby nie utrudniać toku pracy szkolnej. Zakład napewno dołoży wszelkich starań, aby się do nich przystosować.

I szkoła ze swej strony mogłaby przyczynić się do usunięcia wielu, powyżej omówionych, trudności.

Po pierwsze: przez bezpośrednie zetknięcie się i zapoznanie z warunkami, w których dziecko zakładowe się wychowuje, a co zatym idzie przez poznanie psychiki dziecka zakładowego, po drugie: przez zorganizowanie na terenie szkoły pewnego rodzaju opieki nad dzieckiem zakładowym. Wydaje się, że szkoła, mając luźny jedynie kontakt z zakładem, posiada może o nim nieco zniekształcone wyobrażenie i nieścisły obraz życia zakładowego. Poznając warunki, w których dziecko się wychowuje, szkoła postara się wczuć, wżyć w jego psychikę i odpowiednio doń podejść: bez przesadnego sentymentalizmu, ale i bez niechęci i uprzedzeń. Postara się traktować je narówni z innymi, ani mniej, ani więcej odeń wymagać, ale wiedzieć *czego* wymagać. Nie można żądać od dzieci zakładowych tego, czego dać nie mogą. A podkreślanie przez nauczyciela różnic i braków w rozmaitych dziedzinach pogłębia poczucie odrębności i krzywdy, które i tak istnieją z racji warunków, w których się wychowuje dziecko zakładowe, z racji samego faktu, że jest zakładowe.

Czy szkoła, w ramach swej pracy czerwonokrzyskiej, lub kół samopomocy, a może zupełnie niezależnie, nie mogłaby zorganizować pewnego rodzaju opieki nad młodszymi dziećmi zakładu? Wydaje się, że byłoby to z korzyścią dla starszych dzieci „prywatnych" z punktu widzenia rozwoju uczuć społecznych i humanitarnych. Nie ma tu naturalnie mowy o jakichś imprezach filantropijnych, ani o składkach, ani o pomocy materialnej (to należy do innych czynników — opiekunów zakładu), ale o opiekę czysto moralną. Dzieci starsze, klas wyższych, miałyby pod swoją opieką dzieci małe, zakładowe, w sensie czuwania nad ich zachowaniem w szkole, czuwania przy ubieraniu i rozbieraniu, a nawet w sensie indywidualnej pomocy w nauce (analogicznie do zorganizowanej opieki starszych nad młodszymi na terenie zakładu).

Wydaje się więc, że wiele trudności możnaby usunąć dzięki porozumieniu i ustaleniu z władzami szkolnymi pewnych wytycznych współpracy zakładu ze szkołą.

Nicią przewodnią i hasłem byłoby: przez skupienie dzieci danego zakładu w *jednej* lub *dwóch* szkołach, do wzmocnienia kontaktu szkoły z zakładem, a przez to do usunięcia wielu bolączek i krzywd, które się dzieją dziecku zakładowemu i tak już dość przez los upośledzonemu.

Mgr L. ŻÓŁKIEWSKA, Mgr M. HERTZÓWNA.

„Młodzież sięga po pracę".

Wśród zagadnień, interesujących pracownika Opieki Społecznej, na pierwsze miejsce wysuwa się dzisiaj sprawa młodzieży.

Działalność wychowawcza w środowisku zdemoralizowanych wojną i bezrobociem „dorosłych rodzin" podopiecznych nie rokuje nadziei na dobre wyniki; coraz częściej więc słyszy się zdanie, że największe wysiłki należy zwrócić w stronę młodego pokolenia, by wprowadzić je w życie, jako jednostki zdrowe i społecznie pożyteczne. W pracy tej jednak, jeżeli chcemy uniknąć budowania zamków na lodzie, musimy sobie dokładnie zdawać sprawę z obiektywnych warunków wchodzenia młodzieży w życie i pamiętać o nich przy wszelkich poczynaniach w pracy z młodymi. Brak publikacji, którąby syntetycznie ujmowała zarówno gospodarcze, jak i ludnościowe zagadnienia dotyczące młodzieży, dawał się dotkliwie odczuwać tym wszystkim, którzy ze sprawami młodzieży mieli do czynienia i niejednokrotnie powodował niecelowe, błędne w założeniu wysiłki.

Lukę tę wypełnia wydawnictwo Instytutu Spraw Społecznych p. t. „Młodzież sięga po pracę". Zbierając i konfrontując wszelkie dostępne dane z zakresu stosunków demograficznych, rynku pracy, wreszcie przygotowania do pracy i faktycznego stanu zatrudnienia młodzieży, książka ta, dzięki gruntownemu ujęciu zagadnień, staje się niezbędnym przewodnikiem w gęstwinie problemów, nurtujących pracownika społecznego. Dzięki zaś przejrzystości tekstu, pomysłowemu przedstawieniu graficznemu, nużących zwykle czytelnika, suchych liczb i stosunków, jest dostępną dla szerokich rzesz, zainteresowanych zagadnieniem młodzieży.

Zdajemy sobie sprawę w tym miejscu, że książki tej nie można zreferować, nie pomijając szeregu interesujących i ważkich problemów. Podejmując się tego, mamy na celu wyjęcie z niej jedynie najistotniejszych dla nas danych, by zachęcić w ten sposób czytelnika do przestudiowania jej w całości.

* * *

Ile mamy młodzieży i jak wygląda jej przygotowanie do życia? Słowem młodzież określono tu dziesięć najmłodszych roczników ludności w wieku zdolności do pracy (od 15 do 24 lat). Udział młodzieży wśród zdolnej do pracy ludności w Polsce jest większy niż w Japonii, Francji, Anglii i Niemczech. Większa niż w tamtych krajach liczba młodych szuka zatrudnienia, a gdy go nie znajdzie ciąży na reszcie społeczeństwa. Młodzież w Polsce stanowi 32,8% całej zdolnej do pracy ludności. Równolegle ze stałym przyrostem ludności zwiększa się rok rocznie liczba młodzieży. W ciągu ostatniego czterdziestolecia ilość jej wzrosła z 4,7 miln. do 5,74 miln. Stały wzrost populacji zahamowała na pewien czas wojna. Po wojnie liczba urodzeń ogromnie wzrosła.

Za parę lat fala młodych, wstępujących na rynek pracy, wydatnie się zwiększy. Tym samym zwiększą się trudności, związane z zagadnieniem młodzieży.

Przygotowanie młodzieży do życia zależy w dużej mierze od jej pochodzenia; dlatego też nie jest rzeczą dla nas obojętną, jakie środowiska i w jakiej ilości dostarczają Polsce młodzieży.

Stosunek ilościowy młodzieży z różnych środowisk społecznych jest inny, niż stosunek starszych należących do tych środowisk. Chłopi, stanowiący 61% ludności, dostarczają aż 68% młodzieży, podczas gdy robotnicy, których wśród całej ludności jest 20%, dają tylko 17% młodzieży. Inne środowiska (drobnomieszczaństwo, pracownicy umysłowi, grupy zamożne), stanowiące w sumie 18% ludności, dostarczają 15% młodzieży. Olbrzymia więc większość młodzieży pochodzi ze wsi, wzrastając w warunkach najmniej sprzyjających zdobyciu nie tylko wykształcenia zawodowego, ale i ogólnego, nawet w zakresie szkoły powszechnej.

Smutny też obraz przedstawia stan przygotowania szkolnego naszej młodzieży: zaledwie 9% (na podstawie danych z

1934/5 r. szk.) wznosi się ponad poziom szkoły powszechnej, ucząc się dalej w szkołach zawodowych i ogólnokształcących. A ci zaledwie w połowie wypadków kończą rozpoczęte studia. 91% młodzieży wychodzi ze szkoły powszechnej bez jakiegokolwiek dalszego wykształcenia zawodowego, czy ogólnego. Co gorsze: 50% całej młodzieży nie przekracza 4-ej klasy tych szkół, część zaś z nich przerywa naukę na poziomie 1-ej, 2-ej i 3-ciej klasy. Połowa więc młodego pokolenia poziomem swego przygotowania nie odbiega prawie od stanu półanalfabetyzmu.

Tak przygotowana a właściwie nieprzygotowana młodzież wchodzi na rynek pracy. Z miasta kandyduje do zatrudnienia co roku 140 tysięcy nowych młodych sił, ze wsi 230 tysięcy młodzieży, stanowiącej tam czysty przyrost sił, tj. nie znajdującej pracy — nie mieszczącej się w gospodarstwach swych rodzin.

Jaką sytuację na rynku pracy zastaje ta olbrzymia masa nowych rąk roboczych?

Corocznie przez usuwanie się starszego pokolenia zwalnia się 70 tysięcy miejsc na 370 tysięcy kandydatów! Nie sama jednak młodzież kandyduje na te zwolnione placówki. Czeka na nie również, wzrosła w okresie kryzysu, blisko 800 tysięczna armia bezrobotnych, zwiększająca się w pewnych okresach o pokaźną liczbę sezonowo bezrobotnych. Konkurują z młodzieżą także ci pracujący, którzy w okresie kryzysu byli zatrudnieni przez niepełną ilość godzin, a z chwilą poprawy koniunktury mają pierwszeństwo w uzyskaniu pełnego tygodnia pracy. Obok nich prą na rynek pracy ludzie „zbędni" na wsi i w drobnych warsztatach rzemieślniczych, ludzie, którzy w okresie kryzysu „pomagali" w rodzinnym warsztacie czy gospodarstwie, mimo, że i bez ich pomocy warsztat czy gospodarstwo byłyby równie wydajne. Odrywająca się od rodziny i szukająca zatrudnienia na rynku miejskim, z chwilą polepszenia się sytuacji gospodarczej, ogromna, bo blisko 2,5 milionowa, fala „zbędnych", zarówno ze względu na swą ilość, jak i niskie wymagania wydatnie wpływa na pogorszenie się warunków pracy i płacy.

Poprawa koniunktury gospodarczej i co za tym idzie, podniesienie liczby warsztatów do dawnego ich stanu, może w pewnej mierze zahamować dalszy wzrost bezrobocia. Nie może go wszakże usunąć, gdyż z jednej strony w między-

czasie zwiększyła się wydajność warsztatów, dzięki postępom techniki, z drugiej strony wzrastała armia bezrobotnych przez przybytek rokrocznie nowego pokolenia zdolnych do pracy. W pewnej mierze utrudnia rozwiązanie zagadnienia fakt, że przestał działać bardzo ważny regulator podaży sił roboczych z okresu przedkryzysowego, jakim była emigracja.

Tak się przedstawia sprawa rynku pracy, a więc i możliwości zatrudnienia naszej młodzieży: dla 300 tysięcy młodych brak miejsc w ogóle; pozostałe 70 tysięcy młodzieży w zdobywaniu pracy współzawodniczyć musi ze „starszymi" bezrobotnymi i „zbędnymi".

Młodzież, w wieku zdolności do pracy, o ile nie pozostaje w dalszym ciągu w szkołach, wchodzi tym samym na rynek pracy. Wśród tych, co się na rynek pracy dostali, są tacy, którzy już pracują, tacy, którzy już pracowali i po pewnym czasie pracę utracili stając się bezrobotnymi, są wreszcie tacy, którzy poszukują dopiero pierwszego zajęcia. Pozostawiając na uboczu młodzież rolniczą oraz uczącą się w szkołach, rozpatrzmy liczby pozostałych: jaka ich część weszła już niejako w życie „dorosłych" przez rozpoczęcie pierwszej pracy, bez względu na jej jakość i czas trwania.

Przeszło połowa chłopców w wieku 15 — 17 lat, a 68% dziewcząt nie znalazło jeszcze pierwszego zajęcia. Nawet wśród 18—20-letnich przeszło 1/4 chłopców, a spośród dziewcząt przeszło połowa, nigdy nie pracowała. Liczby te każą zastanowić się nad poruszaną przez niektórych kwestią obniżenia granicy wieku zdolności do pracy. Gdy do liczby młodzieży, która jeszcze nie zaczęła pracować, dodamy liczbę bezrobotnych, to jest tych, którzy po rozpoczęciu pracy wkrótce ją utracili, (13% omawianych chłopców w wieku 15 — 17 lat — u starszych odsetek bezrobotnych podnosi się do 26%), będziemy mieli obraz dostatecznie wyjaśniający powody tak częstych w dzisiejszych czasach wypadków wykolejenia się młodzieży, wzrostu przestępczości wśród młodocianych itp.

Czy jednak młodzież, która do pracy już weszła, znajduje się w dużo lepszej sytuacji od swych bezrobotnych rówieśników?

Dwie trzecie całej liczby pracującej młodzieży, to najemni pracownicy fizyczni. Do przemysłu dostaje się jed-

nak tylko nikła ich część. Udział młodocianych wśród ogółu robotników przemysłowych wynosił w 1931 r. zaledwie 4,4%. Przemysł bowiem, zapewniając lepsze warunki pracy i płacy, ma możność przeprowadzania selekcji w doborze sił i opiera się przede wszystkim na pracy osób o największej wydajności, a więc dorosłych. Największy udział młodocianych widzimy w tych gałęziach przemysłu, w których występują małe zakłady, stojące na pograniczu między przemysłem a rzemiosłem.

Większość młodocianych rozpoczyna pracę zawodową w drobnych warsztatach rzemieślniczych, w warunkach, które są nie do przyjęcia dla starszych. Można powiedzieć, że drobne, prymitywne i mało wydajne warsztaty rzemieślnicze tylko dzięki licho opłacanej pracy młodzieży wytrzymują konkurencję z uzbrojonymi w nowoczesne urządzenia fabrykami.

Drobna część chłopców wchodzi do pracy zawodowej przez warsztat ojca. Część, dość znaczna z grupy najmłodszych (1/4), rozpoczyna od pracy, nie wymagającej żadnego przygotowania, jako „samodzielni w handlu“ — sprzedawcy gazet, pomarańcz itp.

Dziewczęta idą na służbę: 2/3 pracujących dziewcząt to służba domowa.

Dorastając, młodzież stara się przechodzić z prymitywnych warsztatów rzemieślniczych do zakładów przemysłowych, bądź też usamodzielnia się, zakładając własny warsztat, równie mało wydajny, równie prymitywny, jak warsztat, w którym rozpoczynała pracę.

Uzyskanie kwalifikacji zawodowych poprawia w pewnym stopniu szanse znalezienia pracy. Ankieta, przeprowadzona wśród absolwentów szkół zawodowych, wskazuje, że ich sytuacja nie jest najgorsza. Znaczna część tej młodzieży znalazła zatrudnienie bezpośrednio po ukończeniu nauki. W dwa lata po opuszczeniu szkoły zawodowej niższego typu, pracowała już przeszło połowa chłopców i dwie trzecie dziewcząt. Większość z nich dostała się do dużych zakładów przemysłowych. Okazało się przy tym, że najprędzej znaleźli pracę absolwenci szkół metalowych (zatrudnieni w 90%). Gorsza jest sytuacja dziewcząt absolwentek: przygotowane przeważnie do pracy w przemyśle odzieżowym, z trudnością dostają

zajęcie w nielicznych u nas zakładach tego typu i zmuszone są pracować bądź samodzielnie, bądź w drobnych, źle płacących przedsiębiorstwach. Łatwość znalezienia pracy dla absolwentów szkół zawodowych typu gimnazjalnego i licealnego jest mniejsza, ze względu na niski stopień rozwoju aparatu produkcyjnego w Polsce. Pamiętać jednak musimy, że jakkolwiek wykształcenie zawodowe poprawia w pewnej mierze sytuację części młodzieży, to część ta jest bardzo znikoma: stanowi zaledwie 1% tych, którzy ponad szkołę powszechną nie wyszli.

Tak wygląda zebrany w omawianej pracy materiał. Obecna sytuacja młodzieży, zdaniem autorów nie jest „jakimś izolowanym ujemnym objawem, który może być leczony w oderwaniu od całości życia gospodarczego. Jest to jeden ze składników całej struktury naszego gospodarstwa; składnik silnie i wielokrotnie związany z całą jego organizacją, mający za przyczynę niedostateczny rozwój dobrego, nowoczesnego aparatu produkcyjnego w Polsce".

* * *

Powiedzieliśmy na wstępie, że „Młodzież sięga po pracę" to przewodnik w wytyczaniu linii polityki młodzieżowej dla społeczników. Konkretny obraz warunków wstępowania w życie młodego pokolenia pozwala ustalić zasięg naszych możliwości w pracy nad młodzieżą. „Osiągnięcie rzeczywistej poprawy bytu młodzieży, zdobycie dla niej miejsc w dobrym, nowoczesnym, wydajnym aparacie wytwórczym uzależnione jest od zasadniczej przebudowy życia gospodarczego Polski". To zadanie leży poza granicami działania pracownika Opieki Społecznej.

Pozostawiając czynnikom ogólno-państwowym troskę o zasadnicze rozwiązanie problemu, opieka społeczna (w szerszym znaczeniu tego słowa) winna zwrócić swe wysiłki w kierunkach: 1) lepszego przygotowania do życia młodzieży i 2) zapobiegania ujemnym skutkom długotrwałego oczekiwania na pierwszą pracę i bezrobocia młodocianych. Pilnowanie kończenia szkoły powszechnej, jako niezbędnego minimum wykształcenia, korzystanie z długiego okresu pozostawania bez pracy dla podnoszenia poziomu umysłowego młodocianych, pomoc w zdobywaniu kwalifikacji zawodowych, wreszcie otaczanie młodzieży poszkolnej opieką wychowawczą

w celu zapobiegania dezorganizacji i demoralizacji jej przez okres wyczekiwania na pracę, oto sądzimy, konkretne wskazania, płynące z omawianej książki, dla pracownika społecznego.

MIRA PARZYŃSKA.

„Pamiętniki lekarzy".

Po „Pamiętnikach" bezrobotnych, chłopów, emigrantów ukazały się ostatnio „Pamiętniki lekarzy". Wszystkie wymienione wydawnictwa pamiętnikarskie posiadają wartość dokumentarną. Są one odzwierciedleniem, a raczej plastycznym odmalowaniem warunków życia pewnych kategoryj ludzi, którzy napozór pozbawieni talentów literackich chwycili za pióro, by opisać najprostszymi, a więc i najwiarygodniejszymi, słowami — dni, które spędzają przy swej pracy, czy co gorsza, w dręczącej bezczynności.

„Pamiętniki lekarzy" wyróżniają się od poprzednich analogicznych wydawnictw. Tamte bowiem dawały opis życia zamkniętych grup ludzkich, podczas gdy te pokazują nie tylko warunki pracy domowych lekarzy ubezpieczalni społecznych, lecz również warunki życiowe ludności, tej, która się leczy i tej, która się nie leczy, bo jej na to nie stać.

10, nagrodzonych na specjalnym konkursie, pamiętników, wydanych obecnie w książce, to właściwie dziesięć sylwetek lekarzy. Chociaż przeważnie w „spowiedziach" swych mówią o pacjentach, lecz gdzieniegdzie rzucone mimochodem słowo, ukazuje ich stosunek do spraw lecznictwa w ogóle, a lecznictwa społecznego w szczególności. Te przelotne słowa, opowiadają o tym, że dzień pracy lekarza na prowincji, w małym miasteczku, zwłaszcza zaś na wsi, nie ma żadnych norm. Że lekarz poza wiedzą lekarską musi służyć swym pacjentom zwykłym światłem wiedzy przeciętnie wykształconego człowieka. Że musi przebijać się poprzez twardy mur przesądów i wierzeń ludowych. Że musi zwycięsko wyjść z „konkurencyjnej" walki ze znachorami i rozmaitymi „babkami", grasującymi bezkarnie po wielkich połaciach kraju. Że musi walczyć z ogromem nędzy ludności rolniczej, średnio i małorolnej, dla

której wydatek na lekarza prywatnego (wszakże ludności rolniczej ubezpieczenia społeczne nie obejmują), lekarstwa, a nie daj Boże, szpital, czy sanatorium przekracza niemal z reguły możliwości finansowe.

„Cóż poradzę, że tak mało radości jest w tym pamiętniku" pisze dr Skopińska. Istotnie, z pamiętników tych przebija raczej rozpacz w obliczu bezsiły, lub bunt jeszcze nieprzytłoczonej energii i żywotności, czasem jednak już rezygnacja, smutna, beznadziejna rezygnacja. I uśmiechu w nich nie ma, a jeśli — to tylko przez łzy.

* * *

We wszystkich pamiętnikach brzmi jedna wspólna nuta — stosunek pacjentów do lekarzy. Nie jest on dobry, ani nawet przychylny. Przeciwnie, nieraz bardzo wrogi. Lekarze bowiem uosabiają instytucję, z ramienia której pracują. A że instytucja ta, niestety nie u wszystkich dotychczas umiała sobie zdobyć popularność, cierpią z tej przyczyny lekarze, zmuszeni do wysłuchiwania, niesłusznych zresztą zazwyczaj, skarg i utyskiwań, nadużywani nieraz pod względem czasu i fatygi, których się żąda od nich o każdej porze dnia i nocy.

„Dzisiaj jest dzień nagłych wypadków — pisze dr Karasiówna. — O 5 rano budzi mnie służąca. Po 14 godzinach pracy poprzedniego dnia należałoby dłużej pospać. Ale dziewczynę jakaś żmija ukąsiła".

Doktorka bada dziewczynę — na nodze ani śladu ukąszenia. — „A kiedy to się stało? — Zeszłego roku właśnie o tym czasie".

Inny wypadek. Doktorka otrzymuje telefon. Żona ubezpieczonego dostała krwotoku. — „Skąd — niewiadomo. Więc zabieram narzędzia do wszystkich możliwych krwotoków i jadę pociągiem. Biorę tragarza do rzeczy, bo zabieram pół ordynacji. Biorę drugiego w Lachowicach i szukam mieszkania ubezpieczonej. Znam tylko jej nazwisko. Po długich i ciężkich cierpieniach — znajduję. W łóżku leży młoda kobieta różowa i uśmiechnięta. — „A gdzież ten krwotok?" pytam. — Ano był wczoraj — odpowiada — z nosa mi się lało".

„Przypominam sobie wypadek — pisze lekarz nie odsłaniający tajemnicy swego nazwiska — gdy zostałem wezwany o 3 w nocy do ubezpieczonego w nagłym wypadku. Gdy przy-

jechałem na miejsce, stwierdziłem lekką grypę z bólami mięśniowymi".

A już zupełnie humorystyczny list jednej z ubezpieczonych inteligentek cytuje dr Skorecki. „Łaskawy Panie Doktorze! Dziecko moje już drugi dzień jest bez stolca. Dlatego proszę o łaskawe przybycie i dać synkowi balonik. P. S. Proszę nie zapomnieć wziąć swój balonik, ponieważ własnego nie posiadam".

Ten niewyrozumiały, do pewnego nawet stopnia zacietrzewiony, stosunek do lekarza ubezpieczalni (ja płacę, ja wymagam) ogromnie utrudnia wykonywanie pracy, która i tak ma do zwalczenia ogromną liczbę przeszkód. Rzecz, np., której nie znają lekarze z dużych miast, a która boleśnie daje się we znaki lekarzom z miasteczek i ze wsi — to olbrzymie odległości, jakie muszą pokonywać, żeby się dostać do chorego. Na ogół jedzie się wozem chłopskim. „Jeżdżenie na siedzeniu słomianym jest osobną sztuką. Każdy doświadczony lekarz ją posiada — pisze dr Karasiówna. Nie zawsze jednak ktoś z rodziny chorego przyjedzie wozem, zwłaszcza w okresie żniw, czy innych pilnych robót w polu. To też nieraz lekarz odbywa wielokilometrowe marsze, często nawet w nocy, skoro wypadek jest nagły. Kogóż to obchodzi, że na jedną taką wizytę traci parę godzin czasu, które odrobić będzie musiał (pacjenci są wytrwali, czekają na jego powrót), okrawając sobie i tak minimalny czas snu i wypoczynku.

* * *

Wstrząsające, tragiczne nieraz historie, opisane przez 10 nagrodzonych lekarzy biją na alarm. Setki tysięcy ludzi pracujących na roli, czy we własnych, mało opłacalnych warsztatach, pozbawionych jest opieki i pomocy lekarskiej. Rok rocznie tysiące ofiar pochłaniają choroby zakaźne: tyfus, gruźlica, choroby weneryczne. Rok rocznie giną tysiące dzieci od szkarlatyny, czy dyfterytu. Rok rocznie umierają setki kobiet, pozbawionych pomocy przy porodzie.

Ci, spośród nieubezpieczonych, którzy chorują, zgłaszają się zazwyczaj dopiero w ostatnim stadium choroby. Tak charakteryzuje prywatnych pacjentów dr Karasiówna: „Prawie wszyscy wzywali w stanie beznadziejnym. Ci, którzy daliby się wyleczyć, ograniczyli się do jednej wizyty". I dalej: „Bo

90% pacjentów na prowincji to chłopi. Dlatego mam w praktyce prywatnej 50% śmiertelności". Podczas, gdy wsród 3.000 ubezpieczonych, którzy przewinęli się przez miejscowe ambulatorium zmarło dwanaście osób, co daje 0,4% śmiertelności.

„Dopóki robotnicy należeli do Kas Chorych to ostatecznie było pół biedy — pisze o sprawie lecznictwa na wsi dr Giebocki. — Gdy zauważyli jakieś objawy brali karteczkę z kasy majątku i szli do lekarza. Lecz obecnie żaden robotnik rolny, a tym więcej ci najwięcej upośledzeni z nich — robotnicy sezonowi, nie mają przecież praktycznie dostępu do lekarza..." Bo — o czym wiedzą doskonale wszyscy lekarze na prowincji — zanim pracodawca zdecyduje się skierować na swój koszt pracownika do lekarza, wpierw sprobuje leczyć go „własnym przemysłem". Oczywiście skutek jest taki, że ów „domowo kurowany" pacjent zazwyczaj zgłasza się za późno na leczenie i choroba, która w porę załapana mogłaby być wyleczona, w takich wypadkach kończy się zazwyczaj śmiercią lub co najmniej ciężkim kalectwem.

I tak jak dawniej zdarzały się sporadycznie wypadki symulacji choroby dla otrzymania zasiłku, tak teraz bardzo częste jest zjawisko odwrotne, tzw. dyssymulacji, to zn. ukrywania choroby. „Terminatka", czyli zwolnienie z pracy, wisi jak miecz Damoklesa nad chorym pracownikiem rolnym. To też istotnie oficjalne statystyki stwierdzają zmniejszenie liczby zachorowań wśród ludności wiejskiej. Równocześnie jednak te same statystyki notują zwiększenie odsetka śmiertelności wśród mieszkańców wsi.

* * *

Oto parę przykładów wymowniejszych od wszelkich statystyk, jakże niestety często mijających się z rzeczywistością.

Pisze dr Karasiówna: „Wczas rano przyjeżdża małżeństwo z dzieckiem z Krzeszowa. Dziecko kilkutygodniowe pokryte wysypką. Na twarzy strup. Nos zatkany. Jednym słowem wiadomo. Familijny lues. A ileż to już dzieci mieliście? — pytam. — To jest trzynaste — mówi chłop. — Ale tamte wszystkie umarły malutkie. Te pierwsze to nawet rodziły się nieżywe i zawczasu".

„I trzynastemu dziecku doktór nic nie pomógł — żali się lekarka. — Bo jak tu myśleć o kuracji długotrwałej i kosz-

townej, skoro chłop ledwo zdołał wysupłać trzy złote za wizytę lekarską, wizytę, oczywiście w tym wypadku zupełnie bezcelową.

„Jeśli mówimy o szerzeniu się chorób wenerycznych — stwierdza dr Giebocki — nie sposób pominąć związanego ściśle z tym tematem problemu robotników sezonowych.

Wystarczy, by w drużynie był jeden chory względnie chora, a choroba w bardzo szybkim tempie przenosi się na wszystkich pozostałych członków drużyny. Ponieważ chłopcy — robotnicy sezonowi nie gardzą też wdziękami miejscowych dziewcząt — zaraza przechodzi poza obręb robotników sezonowych".

Ten sam lekarz opisuje „leczenie" innej, niemniej groźnej choroby, jaką jest jaglica. „Poczesne miejsce zajmują okłady z rumianku. Następnym środkiem są okłady z białka jaja kurzego, względnie też okłady ze świeżego sera".

Specjalnie dużo miejsca w pamiętnikach zajęła sprawa gruźlicy, rozwijającej się uporczywie tak wśród ludu wiejskiego, nie przestrzegającego najprostszych przepisów higieny, mieszkającego w dusznych, ciemnych, niemal nigdy niewietrzonych chatach, jak i wśród mieszkańców miast, zwłaszcza skupiających się w wilgotnych suterenach i przewiewnych poddaszach.

„Diagnozę niektórych wypadków — pisze dr Skopińska — trzeba było z góry określić słowem „śmierć". Szczególnie często to cisnęło mi się na myśl, gdy miałam do czynienia właśnie z gruźlicą".

Tę litanię chorób trzebiących społeczeństwo wiejskie możnaby powiększyć jeszcze o wiele innych schorzeń, które nie groźne, gdy są leczone, zaniedbane mogą spowodować katastrofę.

Ludności rolniczej nie stać na lekarzy i lekarstwa. Oto pewnik, pod którym podpisali się wszyscy autorzy pamiętników. Drugim aksjomatem jest — że dłużej taki stan tolerowany być nie może. Wieś polska bowiem pod względem ochrony swego zdrowia tkwi ciągle jeszcze w mrokach średniowiecza. Należy udostępnić jej choć część nowoczesnych zdobyczy, z których korzystają mieszkańcy miast, nawet ci, których nie stać na prywatne leczenie. Sieć leczniczych ambulatoriów i po-

radni przede wszystkim miejskich, następnie społecznych, udostępnia najuboższym w miastach pomoc i opiekę lekarską.

Przeciwnikom stworzenia analogicznych do miejskich — wiejskich ośrodków zdrowia należy zalecić „Pamiętniki lekarzy", jako pouczającą lekturę.

Regulamin Wydziału Opieki i Zdrowia.

W Nr 22 Dziennika Zarządu Miejskiego w m. st. Warszawie z dn. 17 marca r. b. ukazał się regulamin Wydziału Opieki i Zdrowia Zarządu Miejskiego w m. st. Warszawie, zatwierdzony decyzją Prezydenta m. st. Warszawy z dn. 6 marca 1939 r. Nr 2559.

Zadania.

§ 1.

Wydział Opieki i Zdrowia Zarządu Miejskiego w m. st. Warszawie powołany jest do sprawowania na terenie stolicy opieki społecznej i zdrowotnej oraz wykonywania nadzoru sanitarnego, w myśl obowiązujących przepisów prawnych.

Organizacja i podział zadań.

§ 2.

Wydział dzieli się na:

1. Sekcję Ogólną,
2. Sekcję Budżetowo-Gospodarczą,
3. Sekcję Społeczną,
4. Sekcję Służby Opieki,
5. Sekcję Służby Zdrowia,
6. Urząd Wychowania Fizycznego.

§ 3.

A. Do zadań Sekcji Ogólnej należy:

1. Prowadzenie spraw organizacyjnych Wydziału,
2. prowadzenie ogólnej biurowości Wydziału,
3. załatwianie spraw personalnych w granicach kompetencji Wydziału,
4. załatwianie spraw nienależących do kompetencyj innych Sekcyj, a leżących w kompetencji Wydziału.

B. W skład Sekcji wchodzą:

1. Referat Ogólny,
2. Referat Personalny,
3. Kancelaria.

§ 4.

A. Do zadań Sekcji Budżetowo-Gospodarczej należy:

1. Opracowywanie preliminarzy budżetowych Wydziału oraz wykonywanie budżetu,

2. asygnowanie należności Wydziału,

3. windykowanie kosztów opieki i leczenia,

4. pełnienie nadzoru nad działalnością gospodarczą zakładów i instytucyj, podlegających Wydziałowi oraz sprawowanie, w porozumieniu z Sekcją Służby Opieki i Sekcją Służby Zdrowia, kontroli nad instytucjami, subsydiowanymi przez gminę za pośrednictwem Wydziału,

5. prowadzenie inwentaryzacji oraz gospodarki ruchomym i nieruchomym majątkiem Wydziału,

6. planowanie i kontrola robót inwestycyjnych i remontowych,

7. przeprowadzanie kalkulacji kosztów utrzymania,

8. dokonywanie względnie prowadzenie kontroli zakupów.

B. W skład Sekcji wchodzą:

1. Referat Budżetowy,
2. Referat Windykacyjny,
3. Księgowość,
4. Referat Gospodarczy,
5. Referat Nieruchomości.

§ 5.

A. Do zadań Sekcji Społecznej należy:

1. Załatwianie spraw, związanych z działalnością opiekunów społecznych,

2. inicjowanie akcyj społecznych i współdziałanie ze stowarzyszeniami i instytucjami o celach opiekuńczo-społecznych i zdrowotnych,

3. załatwianie spraw fundacyj opiekuńczo - społecznych, zapisów i darowizn.

B. W skład Sekcji wchodzą:

1. Referat Opiekunów Społecznych,
2. Referat Stowarzyszeń i Instytucyj Opiekuńczych,
3. Referat Fundacyj, Zapisów i Darowizn.

§ 6.

A. Do zadań Sekcji Służby Opieki należy:

1. Badanie zagadnień opieki społecznej m. st. Warszawy oraz opracowywanie planów w tym zakresie,

2. sprawowanie kierownictwa i nadzór nad działalnością opiekuńczą i wychowawczą instytucyj, podległych Wydziałowi oraz, w porozumieniu z Sekcją Budżetowo-Gospodarczą i z Sekcją Służby Zdrowia, kontroli nad instytucjami, subsydiowanymi przez gminę za pośrednictwem Wydziału,

3. rozpatrywanie odwołań od decyzyj Ośrodków Zdrowia i Opieki w sprawach przyznawania, rozmiarów i formy pomocy,

4. umieszczanie, usuwanie i ewidencja dzieci oraz dorosłych w zakładach opiekuńczych i w rodzinach zastępczych,

5. nadawanie kierunku i nadzór nad wychowaniem dzieci i młodzieży w zakładach opiekuńczych i w rodzinach zastępczych oraz nad wykonywaniem opieki przez zakłady dla dorosłych,

6. prowadzenie kontroli rzeczowej kosztów utrzymania pensjonariuszów w zakładach opiekuńczych i w rodzinach zastępczych,

7. opracowywanie i kierownictwo akcją pomocy dla bezdomnych oraz walką z żebractwem, włóczęgostwem i nieróbstwem, narkomanią, alkoholizmem i nierządem,

8. załatwianie spraw, związanych z koordynacją działalności Wydziału w zakresie opieki społecznej z działalnością innych władz.

B. W skład Sekcji wchodzą:

1. Referat Opieki Otwartej,
2. Referat Opieki Zamkniętej nad Dziećmi,
3. Referat Opieki Zamkniętej nad Dorosłymi,
4. Referat Zapobiegania Klęskom Społecznym.

§ 7

A. Do zadań Sekcji Służby Zdrowia należy:

1. Badanie zagadnień zdrowia publicznego m. st. Warszawy oraz opracowywanie planów w tym zakresie,

2. sprawowanie kierownictwa i nadzór nad wykonywaniem służby zdrowia publicznego przez instytucje podległe Wydziałowi oraz sprawowanie w tej dziedzinie, w porozumieniu z Sekcją Budżetowo-Gospodarczą i Sekcją Służby Opieki, kontroli nad instytucjami, subsydiowanymi przez gminę za pośrednictwem Wydziału,

3. przeprowadzanie programowej akcji sanitarnej,

4. zwalczanie chorób zakaźnych i społecznych oraz nadmiernej śmiertelności niemowląt,

5. prowadzenie statystyki przypadków chorób zakaźnych,

6. prowadzenie propagandy higieny,

7. organizowanie nadzoru higienicznego w szkołach,

8. organizowanie ambulatoryjnego i domowego leczenia ubogich,

9. umieszczanie ubogich chorych w zakładach leczniczych i prowadzenie kontroli rzeczowej kosztów utrzymania i leczenia,

10. załatwianie spraw, związanych z koordynacją działalności Wydziału w zakresie zdrowia publicznego, z działalnością Wydziału Szpitalnictwa oraz innych władz i instytucyj społecznych,

11. inspekcja i wydawanie opinii z zakresu higieny na terenie instytucyj miejskich.

B. W skład Sekcji wchodzą:

1. Referat Sanitarny,
2. Referat Chorób Zakaźnych i Społecznych,
3. Referat Higieny Szkolnej,
4. Referat Opieki Lekarskiej.

§ 8.

Do zadań Urzędu Wychowania Fizycznego należy:

1. Prowadzenie ośrodków i urządzeń wychowania fizycznego oraz propagowanie wychowania fizycznego,

2. udział w budownictwie sportowym (budowa i opiniowanie urządzeń sportowych) na terenie m. st. Warszawy,

3. roztaczanie opieki lekarskiej nad sportem,

4. współdziałanie z Miejskim Komitetem W. F. i P. W., z Referatem Wychowania Fizycznego w Wydziale Oświaty i Kultury, ze stowarzyszeniami sportowymi na terenie stolicy oraz z akcją sportową wśród pracowników Zarządu Miejskiego.

§ 9.

Wydział pełni służbę pomocy społecznej i zdrowotnej za pośrednictwem Ośrodków Zdrowia i Opieki, obejmujących swą działalnością poszczególne okręgi opiekuńcze na terenie stolicy. Organizację oraz zakres działania Ośrodków Zdrowia i Opieki oraz innych, podległych Wydziałowi instytucyj i zakładów opiekuńczych, ustalają oddzielne regulaminy.

Kierownictwo i Personel.

§ 10.

Na czele Wydziału stoi Dyrektor, podległy Prezydentowi Miasta, przed którym jest odpowiedzialny za całokształt działalności Wydziału.

Dyrektor jest zwierzchnikiem wszystkich pracowników Wydziału oraz reprezentuje Wydział na zewnątrz.

§ 11.

Dyrektora Wydziału zastępują Wicedyrektorzy, którzy ponoszą odpowiedzialność za powierzony im dział pracy przed Dyrektorem Wydziału.

W razie nieobecności Dyrektora Wydziału, zastępuje Dyrektora wyznaczony przez Prezydenta Miasta Wicedyrektor, który w okresie całkowitego zastępstwa, odpowiada za całokształt działalności Wydziału przed Prezydentem Miasta.

W razie równoczesnej nieobecności Dyrektora Wydziału i Wicedyrektorów, zastępuje Dyrektora inny urzędnik, wyznaczony przez Prezydenta Miasta na wniosek Dyrektora Wydziału.

§ 12.

Stałą kontrolę inspekcyjną nad pracą biura, ośrodków i instytucyj Wydziału, jak również instytucyj nadzorowanych przez Wydział sprawują Inspektorzy.

§ 13.

Na czele poszczególnych sekcyj i Ośrodków Zdrowia i Opieki oraz zakładów opiekuńczych i zdrowotnych stoją kierownicy, podlegli Dyrektorowi Wydziału.

§ 14.

Poszczególne referaty i jednostki równorzędne prowadzą pracownicy, wyznaczeni przez Dyrektora Wydziału na wniosek właściwych Kierowników sekcyj.

§ 15.

Poszczególni kierownicy oraz inni pracownicy Wydziału ponoszą odpowiedzialność służbową za powierzone im działy pracy przed swoimi zwierzchnikami.

§ 16.

Szczegółowy zakres kompetencji i aprobaty, podział czynności oraz sposób postępowania i tok pracy w Wydziale, regulują oddzielne przepisy i instrukcje, wydawane przez Dyrektora Wydziału w porozumieniu z Wydziałem Ogólnym.

§ 17.

Regulamin niniejszy wchodzi w życie z dniem ogłoszenia w „Dzienniku Zarządu Miejskiego w m. st. Warszawie". Równocześnie tracą moc obowiązującą wszelkie dotychczasowe przepisy, normujące organizację i zakres działania Wydziału, a sprzeczne z niniejszymi.

Warszawa, dn. 6 marca 1939 r.

(—) **Starzyński**
PREZYDENT MIASTA

Kronika.

Zakończenie II kursu piastunek. — Dn. 5 marca rb. w Domu ks. Boduena przy ul. Nowogrodzkiej 75 odbyło się uroczyste zakończenie II kursu piastunek.

Kurs trwał 9 miesięcy. W tym czasie dziewczęta szkolone były w zakresie pielęgnowania i wychowywania dzieci do lat 3, po czym każda z nich została zaangażowana na półroczny okres płatnej praktyki.

Wydanie dyplomów uzależnione zostało więc nie tylko od wyników pracy na kursie, ale również od świadectwa pracodawcy.

Uroczystość, na którą przybyli m. in. nacz. Pietraszewski, nacz. dr Eberhardt, przedstawiciele Funduszu Pracy i Warsz. Szkoły Pielęgniarstwa, zagaił dyrektor Wydziału Opieki i Zdrowia Jan Starczewski.

Sprawozdanie z przebiegu kursu złożyła kierowniczka p. Janowska. Następnie zabrał głos dyrektor Domu ks. Boduena dr Lubczyński oraz przedstawiciel Funduszu Pracy — p. St. Łuniewski.

Absolwentki kursu otrzymały dyplomy, odznakę kursu oraz książkę „Legendy Warszawy".

W chwili obecnej w Warszawie jest już 36 dyplomowanych piastunek, zwanych powszechnie „boduenkami".

Kurs galanterii metalowej dla młodzieży. — Wydział Opieki i Zdrowia Zarządu Miejskiego, doceniając znaczenie fachowego przygotowania bezrobotnej młodzieży do zawodów, w których w przyszłości mogłaby znaleźć zarobek, kładzie duży nacisk na organizowanie rozmaitych kursów przeszkoleniowych dla chłopców i dziewcząt z rodzin wspieranych przez Ośrodki.

Ostatnio uruchomiony został przez Stow. Służby Obyw. — Koło Warsz. 10-cio miesięczny kurs galanterii metalowej dla dziewcząt, specjalnie dobranych i uzdolnionych, spośród uczęszczających do poradni dla młodzieży przy Ośrodkach.

Celem kursu jest wyuczenie dziewcząt samodzielnego wykonywania przedmiotów galanteryjnych z miedzi, mosiądzu, nowego srebra, cynku.

Jak wiadomo, galanteria metalowa jest jednym z popłatniejszych rękodzieł, jak również stanowi przedmiot naszego eksportu — dzięki czemu istnieją dla wykwalifikowanych w tym zawodzie pracowniczek duże możliwości zarobkowe.

Program nauki obejmuje zajęcia warsztatowe, rysunek zawodowy, naukę o materiałach i narzędziach, rachunkowość i organizację warsztatu. Nauka odbywa się codzień w godzinach popołudniowych (razem 28 godzin tygodniowo). Kurs pozostaje pod opieką Kuratorium Okręgu Szkoln. Warsz., który przydziela nań nauczycieli.

Wydział Opieki i Zdrowia zamierza w przyszłości zorganizować spółdzielnię, któraby wyrabiała i sprzedawała przedmioty z galanterii metalowej.

Pomoc specjalna I Ośrodka dla chorych z rodzin wspieranych. — W ramach pomocy specjalnej dla chorych na gruźlicę, jaglicę i choroby weneryczne wśród rodzin wspieranych I Ośrodek Zdrowia i Opieki przy ul. Puławskiej 91 przeprowadził rozdawnictwo bielizny pościelowej, osobistej, odzieży, łóżek itp.

Ogółem dotychczas rozdano 106 poszewek, 91 prześcieradeł, 18 łóżek polowych, 20 łóżeczek dziecinnych, 34 koce, 14 sienników, 56 swetrów, 313 ręczników, 80 koszul dla dorosłych, 272 koszule dla dzieci, 17 sukienek dla dzieci, 170 chustek, 31 kompletów naczyń do jedzenia oraz wiele innych sztuk odzieży i bielizny.

Ponadto w komplety bielizny pościelowej i bielizny dla dzieci zaopatrzone zostały rodziny chorych, leczących się w poradni dla ubogich oraz rodziny najbiedniejsze spośród wspieranych przez Ośrodek.

W ten sposób do tej pory zostało zaopatrzonych ponad 800 rodzin. Warto podkreślić, że bielizna, zarówno pościelowa jak i osobista, uszyta została przez bezrobotne kobiety w szwalni, czynnej przy Ośrodku.

Kursy trykotarskie dla kobiet z rodzin wspieranych. — I Ośrodek Zdrowia i Opieki przy ul. Puławskiej 91 prowadzi dwa kursy trykotarskie dla kobiet z rodzin wspieranych w wieku od 18—35 lat.

Jeden kurs, którego program obliczony jest na 3 miesiące, obejmuje systematyczną naukę trykotarstwa. Uczestniczy w nim 30 kobiet. Zajęcia odbywają się dwa razy na tydzień po trzy godziny (w godzinach popołudniowych).

W kursie drugim bierze udział 50 kobiet. Uczą się one roboty swetrów, przy czym każda z nich musi wykonać sweter dla swego dziecka, z otrzymanej od Ośrodka wełny.

Opiekunowie zorganizowali kurs dla kobiet. — X-ty okręg opiekunów społecznych zorganizował dla kobiet-matek z rodzin robotniczych kurs gospodarstwa domowego.

Celem kursu jest podniesienie poziomu gospodarstw rodzin robotniczych przez racjonalne wykorzystanie pieniędzy, czasu i nakładu pracy.

Program kursu obejmuje — naukę gotowania — 15 lekcyj 3-godzinnych, naukę sprzątania — 3 lekcyj 3-godzinnych, konserwację sprzętu, reperację i pranie — 6 lekcyj 3-godzinnych.

Lekcje odbywają się raz w tygodniu we wtorki w godzinach 17—20 w świetlicy opiekunów społecznych X-go okręgu opiekuńczego — ul. Słowackiego 5-b.

Zbiórka odzieży przez opiekunów. — Opiekunowie społeczni II-go okręgu opiekuńczego, obejmującego XI i XXIII komisariaty P. P., współpracujący z II Ośrodkiem Zdrowia i Opieki, zebrali w 1938 r. 2.127 sztuk odzieży. Odzież tę, po wypraniu i zreperowaniu przez bezrobotne kobiety, rozdano najbiedniejszym rodzinom z II Okręgu.

Wszystkim pp. ofiarodawcom za złożone dary opiekunowie społeczni składają najserdeczniejsze podziękowanie, prosząc o dalsze ofiary. Wystarczy powiadomić telefonicznie 9-40-80 (godz. 8—15) lub przesłać kartkę pocztową pod adresem II Ośrodka Z. i O. (ul. Opaczewska 1), a goniec przyjdzie i odzież zabierze. Dla kontroli trzeba koniecznie do paczki dołączyć spis rzeczy, adres i nazwisko ofiarodawcy. Jeżeli w ciągu tygodnia ofiarodawca nie otrzyma pokwitowania — powinien reklamować.

Brak odzieży jest źródłem wielkich cierpień dzieci i dorosłych. Opiekunowie społeczni usilnie przestrzegają przed rozdawaniem odzieży niesprawdzonym żebrakom i oszustom, którzy otrzymaną odzież sprzedają przeważnie na wódkę.

Odzież przekazana opiekunom społecznym i rozdana w Ośrodku dostanie się napewno ludziom naprawdę potrzebującym.

Imprezy dochodowe opiekunów społecznych.

Dnia 5 lutego rb. opiekunowie społeczni II okręgu opiekuńczego zorganizowali wieczór taneczny w lokalu dancingowym „Pod krzywą latarnią", przy ul. Podwale 25.

Dochód z biletów wstępu zasilił fundusz opiekunów na dokształcanie zawodowe młodzieży z terenu Ochoty.

* * *

Dnia 11 lutego rb. III okręg opiekunów społecznych urządził zabawę w lokalu Zrzeszenia Adwokatów R. P. przy ul. Widok 7.

Dochód z zabawy powiększył fundusz samopomocy opiekunów przeznaczony na pomoc dla najbiedniejszych rodzin.

* * *

Dnia 16 lutego rb. II okręg opiekunów społecznych zorganizował w dolnych salonach „Adrii" wieczór towarzyski, przyczym dochód przeznaczony został na najbiedniejsze dzieci Ochoty.

* * *

Dorocznym zwyczajem opiekunowie społeczni przystąpili już do urządzania imprez dochodowych, z których dochód pozwoli na przygotowanie „święconego" dla rodzin, znajdujących się pod opieką ich i Ośrodków.

Dn. 18 marca rb. w cukierni Dakowskiego (ul. Bagatela 3) opiekunowie społeczni I okręgu urządzili czarną kawę — koncert.

W koncercie wzięli udział pp. Irena Kozłowska, Lucy Robaszewska, Feliks Konarski i Zbigniew Krukowski.

W tym samym lokalu dn. 19 marca rb. opiekunowie społeczni II Okręgu urządzili pod protektoratem p. min. Wacławowej Makowskiej poranek muzyczny, w którym wystąpili pp. Maria Chmurkowska, Stanisława Orska, Tadeusz Faliszewski, Tadeusz Chaveau Zakrzewski, Czesław Burkat, Stanisław Gawdziński.

Nagrody dla pracownic domowych. — Wydział Opieki i Zdrowia Zarządu Miejskiego w m. st. Warszawie z odsetek za rok 1938 od zapisu śp. Józefa Zacharkiewicza przyznał trzy nagrody pracownicom domowym za wieloletnią, nienaganną służbę w jednym miejscu u stałych mieszkańców stolicy.

Warunki zapisu przewidywały trzy kategorie nagród — pierwszą za najdłuższy okres pracy (nie krótszy niż lat 20), drugą za okres od 15—20, trzecią za czas od 10—15 lat służby.

Spośród 128 kandydatek ubiegających się o wyróżnienie — nagrodę pierwszą w wysokości zł 427.— przyznano Radke Jadwidze za 47 lat i 5 miesięcy nieprzerwanej pracy, nagrodę drugą w wysokości zł 215.— Janiszewskiej Michalinie za 19 lat i 10 miesięcy pracy, nagrodę trzecią — zł 130.— Laskowskiej Franciszce za 14 lat i 10 miesięcy pracy.

Nagrody rozdane zostały w dn 18 marca r. b. w Wydziale Opieki i Zdrowia.

Wsparcia z zapisu J. Skiwskiego. — Wydział Opieki i Zdrowia podaje do wiadomości, iż z odsetek za czas od 1. VII. 1936 r. do 1 I. 1939 r. od zapisu ś. p. Juliusza Skiwskiego, przyznano za pośrednictwem Towarzystwa nad Ociemniałymi, zgodnie z uchwałą Komitetu dysponującego rozdawnictwem wsparć z zapisu — wsparcia 10-ciu niewidomym, w ogólnej sumie zł 502,23.

Nowa poradnia przeciwgruźlicza dla dzieci. — W lokalu IX Ośrodka Zdrowia i Opieki przy ul. Karowej 2 otwarta została poradnia przeciwgruźlicza dla dzieci.

Gruźlica, jak wiadomo, inaczej przebiega u dzieci niż u dorosłych, w związku z czym wskazana jest specjalizacja lekarzy i w wyniku jej odrębność poradni.

Nowa poradnia jest dziesiątą z kolei miejską poradnią przeciwgruźliczą dla dzieci .Ponadto przy Ośrodkach czynnych jest dziesięć poradni przeciwgruźliczych dla dorosłych.

Poradnia lecznicza dla dzieci z rodzin zastępczych. — Dzieci przebywające na wychowaniu w rodzinach zastępczych znajdują się, jak wiadomo, pod stałą opieką lekarską, którą do niedawna wykonywali lekarze poradni miejskich Ośrodków Zdrowia i Opieki.

Przed dwoma miesiącami dla tej kategorii dzieci uruchomiona została specjalna poradnia lecznicza w lokalu III Ośrodka przy ul. Srebrnej nr 12.

Poradnia, która obejmuje dzieci w wieku od niemowlęctwa do lat 15, czynna jest we wtorki w godz. 15—17, w środy w godz. 12—15 oraz w piątki w godz. 12—17.

Porady udzielane są bezpłatnie.

11.606 rodzin pod opieką Ośrodków. — Z opieki dziesięciu miejskich Ośrodków Zdrowia i Opieki skorzystało w lutym r. b. 11.606 rodzin, o łącznej liczbie 31.551 osób.

Pomoc Ośrodków polega obecnie, jak wiadomo, na pośrednictwie w wyszukiwaniu mieszkań dla rodzin bezdomnych bądź zagrożonych eksmisją, na wydawaniu paczek i bonów żywnościowych, rozdawnictwie przedmiotów pierwszej potrzeby, odzieży itp. Zapomogi pieniężne stosowane są b. rzadko, w pojedyńczych, społecznie uzasadnionych, wypadkach.

Z działalności poradni prawnych. — Poradnie prawne, czynne obecnie przy wszystkich Ośrodkach Zdrowia i Opieki niosą bezpłatną pomoc prawną niezamożnym mieszkańcom stolicy.

Działalność ich polega na udzielaniu porad prawnych, sporządzaniu pism procesowych, podań do władz sądowych i administracyjnych, zastępstwie prawnym w sprawach alimentarnych i mieszkaniowych, wyjednywaniu zaopatrzeń inwalidzkich i rent starczych.

Poradnie prowadzone przez miasto istnieją przy Ośrodkach: III (Srebrna 12), VII (Grochowska 337), VIII (Czerniakowska 168), IX (Karowa 2).

Poradnia przy ul. Srebrnej 12 jest Centralną Poradnią, która poza normalnymi czynnościami sprawuje nadzór nad wszystkimi miejskimi poradniami.

Przy Ośrodkach: I (Puławska 91), II (Opaczewska 1), IV (Okopowa 1), VI (Siedzibna 25), X (Juliusza Słowackiego 5-b) poradnie prowadzi Komitet „Osiedle". Poradnią przy V Ośrodku (Spokojna 15) kierują opiekunowie społeczni.

W lutym r. b. miejskie poradnie prawne udzieliły ok. 800 bezpłatnych porad oraz przygotowały ok. 300 pism procesowych.

Wśród spraw sądowych największy odsetek stanowiły, jak zwykle, sprawy mieszkaniowe (ochrona przed eksmisją), których było 380, oraz alimentarne (wyjednywanie alimentów dla matek nieślubnych, porzuconych, dla starców opuszczonych przez dzieci), których zarejestrowano — 365.

Centralna Kartoteka ciągle się rozwija. — O tym, że instytucje społeczne coraz bardziej doceniają pracę Centralnej Kartoteki Pomocy Społecznej świadczy rozwój tej placówki.

Przed udzieleniem pomocy ubogim instytucje społeczne zwracają się do Kartoteki z zapytaniami, czy i w jakiej instytucji petent jest już wspierany, ewentualnie jaką otrzymuje pomoc.

W lutym r. b. zgłoszono telefonicznie lub na piśmie 2.548 takich zapytań.

Po przyznaniu pomocy stałej lub doraźnej instytucje zawiadamiają o tym skolei Centralną Kartotekę. Zawiadomień w ub. mies. nadesłano 2.322.

Poza tym gminy obce nadesłały 194 zawiadomienia o żebrakach i włóczęgach zawodowych, a Woj. Biuro Funduszu Pracy nadesłało 2.516 nazwisk osób ubiegających się w lutym o zasiłki ustawowe.

Na zgłoszone zapytania i nadesłane karty rejestracyjne Kartoteka stwierdziła w 2.502 wypadkach, że świadczeń udzielać nie należy.

Ma to z jednej strony duże znaczenie wychowawcze w stosunku do osób korzystających z pomocy, z drugiej — umożliwia sprawiedliwszy podział funduszów przeznaczonych na opiekę społeczną.

Powiększenie lokalu X Ośrodka. — Część budynku X Ośrodka Zdrowia i Opieki przy ul. Słowackiego 5-b zajęta była dotychczas na mieszkania służbowe.

Obecnie mieszkania te zostały opróżnione i przyłączone do lokalu Ośrodka. W ten sposób Ośrodkowi przybyło 7 pokojów.

OD REDAKCJI.

Redakcja otwiera, poczynając od najbliższych numerów, stałą rubrykę p. t. „Kartki z pamiętników pracowników służby społecznej".

W rubryce tej zamieszczane będą wspomnienia pracowników społecznych, zarówno honorowych, jak i zawodowych związane z pełnioną przez nich służbą.

Redakcja apeluje o nadsyłanie „Kartek" w jak największej ilości. Zarówno tych, w których opisane będą blaski służby społecznej, jak i tych, które zobrazują jej cienie. „Kartek" których treścią będą zarówno pozytywne osiągnięcia, jak i niepowodzenia.

„Kartki" mogą być podpisane nazwiskiem, bądź pseudonimem, a także bezimienne.

Wydawca: Zarząd Miejski w m. st. Warszawie
Komitet redakcyjny:
Mgr Antoni Chaciński, Tytus Czaki, Dr Jan Konopnicki, Dr Mikołaj Łącki, Emilia Manteuffel, Zofia Sobotowa, Jan Starczewski.
Redaktor: Tytus Czaki.
Sekretarz Redakcji: Mira Parzyńska. Tel. 617-49.
Redakcja i Administracja ul. Złota Nr 74, tel. 6-98-29
Wydział Opieki Społecznej i Zdrowia Publicznego

Prenumerata roczna 4 zł. Cena pojedyńczego egzemplarza 40 gr
Prenumeratę wpłacać należy na P. K. O. Nr 7000.
Zarząd Miejski w m. st. Warszawie, Wydział Finansowy
Administracja „Opiekuna Społecznego".

3305. Drukarnia Miejska, Warszawa, ul. Miodowa 23, tel 11-04-10.